

Polskie Forum



Wartości i Rozwój

Jak poprawić dialog Polaków?

Wydanie z okazji

KONGRESU OBYWATELSKIEGO



Gdańsk 2005

Dlaczego powstało Polskie Forum Wartości i Rozwój?

Wyzwania przyszłości, przed którymi stoi Polska i Europa, skłaniają nas do spojrzenia na samych siebie: jacy jesteśmy, jakie są nasze wartości i normy zachowań, jaka jest nasza tożsamość? Siłę do sprostanienia potrzebom rozwoju, konkurencji globalnej i starzenia się musimy znaleźć sami w sobie. Po piętnastu latach transformacji staje się coraz bardziej oczywiste, że dalszego rozwoju nie da się sprowadzić jedynie na indywidualnej aktywności i pracowitości, czy też na współpracy w wąskim kręgu osób, które bezpośrednio znamy i darzymy zaufaniem.

Musimy się nauczyć zbiorowego działania, gdyż inaczej nie będziemy potrafili sensownie zagospodarować nawet darowizn w postaci funduszy strukturalnych. Bez poprawy etycznych standardów zachowań nie będzie funkcjonował dobrze ani rynek, ani państwo, ani społeczeństwo. Czas na uszlachetnienie tego, co zbudowaliśmy w wyniku zrywu „Solidarności” – zrebów rynku i demokracji.

Przyszła konkurencja globalna będzie się opierała przede wszystkim na systemach wartości i na instytucjach. Samymi zdolnościami dostosowawczymi i niskimi płacami nie dokonamy skoku cywilizacyjnego. Potrzebujemy potransformacyjnej reintegracji społecznej i nadania trosce o dobro wspólne realnego znaczenia. Musimy budować wspólnotę na szczeblu kraju i szczeblach niższych. Powinno nam również zależeć na budowie Europy wartości.

Punktem wyjścia ku temu musi być rozmowa, przywrócenie zdolności do wzajemnego słuchania siebie. Dlatego utworzyliśmy Polskie Forum Wartości i Rozwój.

Jest to przedsięwzięcie międzyśrodowiskowe i międzypokoleniowe, które ma służyć refleksji i porozumiewaniu się w kwestii niematerialnych fundamentów rozwoju. Jego celem jest służenie debacie i dialogowi różnych „Polsk”, a nie promocja jednego systemu wartości. Przez wymianę myśli i emocji chcemy służyć pobudzeniu „inteligencji duchowej” polskiego społeczeństwa, by przywrócić zdolność do spójnego i kreatywnego działania w skali całego kraju, regionów czy instytucji publicznych.

Jan Szomburg

Prezes IBnGR

Rada Programowa PFWiR

- doc. dr hab. Krzysztof Jasiński**przewodniczący Rady Programowej
Instytut Filozofii i Socjologii PAN
- dr Jan Szomburg**wiceprzewodniczący Rady Programowej,
prezes Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową,
dyrektor Polskiego Forum Strategii Lizbońskiej
- dr Marek A. Cichocki**Instytut Stosowanych Nauk Społecznych UW
- Paweł Dobrowolski**niezależny doradca gospodarczy
- Łukasz Hardt**.....Wydział Nauk Ekonomicznych UW
- dr Leszek Jesień**.....Instytut Studiów Strategicznych i Badań nad Polityką
WSB-NLU w Nowym Sączu
- dr Radosław Markowski**Instytut Studiów Politycznych PAN
- Janusz Palikot**.....prezes Polmosu SA Lublin
- Piotr Rymaszewski**Copernicus Finance
- dr Tadeusz Szawiel**.....Instytut Socjologii UW
- dr Tomasz Zarycki**Instytut Studiów Społecznych UW
- dr Tomasz Żukowski**Instytut Polityki Społecznej UW,
WSB-NLU w Nowym Sączu

Wartości i Rozwój
nr 4

Polskie Forum  Wartości i Rozwój

Jak poprawić dialog Polaków?

Wydanie z okazji

KONGRESU OBYWATELSKIEGO

K O N G R E S



OBYWATELSKI



Gdańsk 2005

Autorzy

Jan Szomburg

Jan Kieniewicz

Andrzej Nowak

Barbara Fedyszak-Radziejowska

Tomasz Zarycki

Przemysław Czapliński

Leszek Porębski

Marek Cichocki

Maciej Łętowski

Gerald Abramczyk

Edwin Bendyk

Agata Stafiej-Bartosik

Marek Szczepański

Marcin Szałowski

Dariusz Tworzydło

Renata Rycerz



Publikacja wydana w ramach projektu z Fundacją Konrada Adenauera

© **Copyright by**

Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową

80-227 Gdańsk, ul. Do Studzienki 63

tel. (058) 524-49-00

faks (058) 524-49-08

www.ibngr.edu.pl

e-mail: ibngr@ibngr.edu.pl

Redakcja naukowa

Jan Szomburg

Redakcja

Agnieszka Kubicka

Projekt okładki

Magdalena Karbowiak

ISBN 83-89443-47-3

CIP – Biblioteka Narodowa

Jak poprawić dialog Polaków? / [aut. Jan Szomburg et al.] ;
Polskie Forum Wartości i Rozwój. – Gdańsk : Instytut Badań
nad Gospodarką Rynkową : we współpr. z Fundacją Konrada
Adenauera. 2005. – (Wartości i Rozwój ; nr 4)

Wydanie I

Gdańsk 2005

Spis treści

Jan Szomburg <i>Komunikacja i dialog dźwignią rozwoju Polski</i>	13
Jan Kieniewicz <i>Perspektywy polskiego dialogu</i>	16
Andrzej Nowak <i>Dialog społeczny i konflikt</i>	25
Barbara Fedyszak-Radziejowska <i>O debatach i społeczeństwie obywatelskim</i>	30
Tomasz Zarycki <i>O dwoistej naturze struktur dialogu społecznego</i>	35
Przemysław Czapliński <i>Literatura, dialog, komunikacja</i>	45
Leszek Porębski <i>Rewolucja informacyjna a jakość polskiej debaty</i>	57
Marek A. Cichocki <i>Mediokracja</i>	68
Maciej Łętowski <i>Media nie zastąpią agory?</i>	71
Gerald Abramczyk <i>Media nie dojrzały do swej roli</i>	75
Edwin Bendyk <i>Media, Nowe Media i dialog społeczny</i>	76
Agata Stafiej-Bartosik <i>Pajęczyna</i>	81
Marek S. Szczepański <i>Dialog społeczny w mniejszym niebie</i>	86
Marcin Szałowski <i>Przemoc jako zaprzeczenie idei dialogu społecznego</i>	92
Dariusz Tworzydło <i>Bariery dialogu w organizacjach</i>	96
Renata Rycerz <i>Gdzie uczyć dialogu?</i>	98

*Jan Szomburg**

Komunikacja i dialog dźwignią rozwoju Polski

Po szesnastu latach transformacji jesteśmy jako Polacy w sporej konfuzji zarówno co do oceny obecnej sytuacji naszego kraju, jak i jego perspektyw na przyszłość. Z jednej strony dostrzegając ujawniony w tych latach wielki potencjał przedsiębiorczości, kreatywności i zdolności do uczenia się marzy nam się, by być „tygrysem” Europy na wzór Irlandii, by dokonać skoku cywilizacyjnego i przezwyciężyć syndrom peryferyjności. Z drugiej, widzimy „morze niemożności”: bardzo niski poziom zaufania i współpracy w życiu społecznym, gospodarczym i politycznym, słabość elit, deficyt obywatelskości (kierowania się dobrem publicznym), wreszcie ograniczająca nasz rozwój i denerwująca – zwłaszcza młodych – słabość państwa. Jedni z nas (ci starsi) zadają sobie pytanie, „jaka Polska?”, inni – rozważając emigrację – pytają, „czy Polska?”. W życiu rodzinnym i przyjacielskim funkcjonujemy raczej dobrze i jesteśmy z niego zadowoleni, w życiu szerszych wspólnot źle i jesteśmy tym bardzo zdegustowani. Jako naród i społeczeństwo ciągle znajdujemy się w stanie swoistego „rozedrgania” i dezintegracji. Brakuje nam elementarnej spójności myślenia i działania. Te słabości są tym bardziej deprymujące, że sukces we współczesnym świecie wymaga coraz większej współpracy, zaufania, łączenia różnych umiejętności i profesji. My natomiast okopujemy się w swych „grajdołach” sektorowych, korporacyjnych, zawodowych itp. Zaczynamy więcej inwestować w relacje z europej-

* Prezes zarządu Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową, organizator Polskiego Forum Wartości i Rozwój.

skim centrum niż wewnątrz krajowe, co jest najlepszą drogą do utrwalania peryferyjności.

Dostrzegając te nasze słabości zdajemy sobie jednocześnie sprawę, że każdy organizm społeczny jest pewną całością i różne jego cechy się nawzajem warunkują. Niemniej jednak pytamy o swoiste dźwignie, których uruchomienie wyzwala pozytywny mechanizm łańcuchowy.

Taką dźwignią jest poprawa komunikacji i dialogu. Jest to warunek wyjściowy do lepszego poznawania się, rozumienia i porozumiewania, wreszcie, co chyba najważniejsze, do nawiązania nowych więzi i budowania większych wspólnot niż tylko rodzina czy krąg przyjaciół. Polska ma dziś problem ze zrozumieniem samej siebie, swych wartości, tożsamości, możliwości i aspiracji. A także ze zrozumieniem wyzwań przyszłości, jakie przed nią stoją (globalizacja, demografia, wielokulturowość). Aby ten fundamentalny deficyt przezwyciężyć, potrzebujemy lepszey wymiany informacji, lepszey debaty publicznej, lepszego rynku idei, emocji, wizji i koncepcji. Potrzebujemy debaty nad debatą i dialogu nad dialogiem: jak je lepiej ustrukturalizować i uczynić bardziej efektywnymi.

Musimy w szczególności lepiej rozumieć młode pokolenie, Polskę lokalną czy wykluczonych. Dzięki lepszey komunikacji i dialogowi powinniśmy lepiej uświadomić sobie własne wartości i własną tożsamość oraz to, co nas łączy. Nie różnice przekonań i interesów, ale właśnie brak prawdziwej rozmowy jest naszym problemem.

Od jakości naszej komunikacji i dialogu będzie w istotnym stopniu zależała nasza pozycja konkurencyjna w Europie i w świecie. Inwestowanie w umiejętności i kulturę komunikacyjno-dialogową może się okazać najlepszym projektem cywilizacyjnym dla Polski. Stawką jest tu także zdolność do eksportu naszej „myśli” i wpływania na kształt otaczającego nas świata. Jest to również kwestia wizerunku naszego kraju, co w warunkach mobilności pracy i kapitału ma stale rosnące znaczenie.

Trudno sobie wyobrazić, by dialog Polaków uległ zasadniczej poprawie bez wykształcenia się w sferze publicznej silnego filara obywatelskiego, który byłby realnym partnerem dla polityki i mediów. Uroda debaty zdominowanej przez samych polityków i dziennikarzy – jak pokazały wybory – nie jest zachęcająca.

Już dziś trzeba podjąć kroki długofalowe, które w rodzinie, szkole czy gminie budowałyby lepsze umiejętności komunikacji i zdolności do dialogu. Szczególna odpowiedzialność spada na tych, którzy chcą być elitą. To oni powinni dać przykład umiejętności słuchania i dialogu.

Uświadamiając sobie dotychczasową słabość komunikacji i dialogu między Polakami trzeba też dostrzec pozytywne zmiany, jakie zwłaszcza w mniejszych grupach się w tym zakresie już dokonują. Szczególnie pożyteczny jest tu Internet i media niszowe. Ułatwianie komunikacji i dialogu Polaków, tworzenie dla nich odpowiedniej przestrzeni powinno stać się priorytetowym zadaniem także władz publicznych na wszystkich szczeblach.

Droga do naprawy Rzeczypospolitej wiedzie przez naprawę polskiego dialogu.

Jan Kieniewicz*

Perspektywy polskiego dialogu

Zacznę od tego, że dialog jest relacją interpersonalną, czyli toczy się między dwiema osobami – a nie między systemami. Instytucje, społeczności, Kościoły czy kultury – nie dialogują. Dialog to więcej niż wskazanie na pewien typ komunikacji. Jest to stan relacji dwu osób powstający w efekcie ich wolnych decyzji. Określenie „dialog społeczny” rozumiem zatem jako wskazanie, że taka relacja ma miejsce w obrębie społeczeństwa i dotyczy spraw szerszych, ważnych dla wspólnoty. W poczuciu powszechnym natomiast chodzi raczej o wymianę komunikatów między grupami w kwestiach uznawanych za ważne dla społeczeństwa. To nie jest to samo. Nie każda rozmowa, nie wszystkie spory i debaty mają postać dialogu. Dialog jest bowiem czymś więcej niż postacią komunikowania. Jest przede wszystkim określeniem postawy. Kiedyś ks. Józef Tischner jednej ze swoich ważnych książek dał tytuł *Polski kształt dialogu*¹. Dla niego dialog był rozmową będącą źródłem poznania. Rozważał sprawę porozumiewania się Polaków w kwestiach ważnych dla ich istnienia.

Tischnerowi szło wtedy o opisanie stanu relacji między Polakami, a nie o wskazywanie pożądanej postaci stosunków międzyludzkich. Odpowiadał Adamowi Michnikowi, zatroskanemu o relacje między laicką lewicą a Kościołem i katolicką inteligencją². Od tamtych czasów minęły całe epoki. Zatroskanie o komunikację partnerów społecznych jest jednak równie uzasadnione, choć sami partnerzy są już inni. Kim są dzisiaj? Kto zechce dzisiaj toczyć spór? Choćby o to, jaka Polska? Moim zamiarem nie może być opis

* Ośrodek Badań nad Tradycją Antyczną w Polsce i Europie Środkowowschodniej UW.

¹ J. Tischner, *Polski kształt dialogu*, Paryż 1981.

² A. Michnik, *Kościół, lewica, dialog*, Paryż 1977.

rzeczywistości, ponieważ nie dysponuję poważnym narzędziem badawczym. Obserwacja i intuicja uczestnika są zawodne. Nie chcę także wpadać w ton moralizatorski. Proponuję zatem refleksję nad dialogiem jako postacią relacji międzyludzkich, relacją charakterystyczną dla naszej cywilizacji. Mam na myśli cywilizację europejską, której system wartości wyrósł z łacińskiego chrześcijaństwa – choć przecież także przeciwko niemu.

Idąc za myślą przedstawioną przez Stanisława Grygiela³ rozumiem dialog jako spełnienie zdolności osoby do udzielenia siebie drugiej osobie za pomocą słowa. Zarazem jest to relacja dawania i przyjmowania, nie tylko mówienia i słuchania. Jest to zatem taka postać komunikacji, która stwarza więź między ludźmi. Dialog wzmacnia sieć powiązań, być może trzeba nawet mówić o jego znaczeniu kumulatywnym. Owe niepoliczalne relacje międzyludzkie składają się na niearytmetyczną całość, która odpowiada najpewniej naszej intuicji, gdy myślimy o dialogu społecznym. Zarazem jednak dialog jest postacią relacji, wymagającą różnorodności i respektującą wielość kultur. Dialog nie jest jedyną postacią relacji międzyludzkich i nie został opisany w żadnym zbiorze norm postępowania. Mam więc na myśli koncepcję powstałą na podstawie obserwacji, a nie propozycję normatywną.

Dialog jest przede wszystkim jedną z relacji między ludźmi różnych kultur. Pojawia się w sytuacjach, gdy osoby pochodzące z różnych kultur, różnych narodów, znajdują sposób pokonania dzielących je barier. Dialog jest wtedy przewyciężeniem Inności. Warunkiem takiego zdarzenia są wyraźnie zarysowane tożsamości. Świadomość własnego Ja, ale też uczestnictwa w dziedzictwie własnej kultury, to warunki niezbędne dialogu. W obecnej Europie to określenie tożsamości okazuje się czasem trudne. Mam na uwadze w sposób szczególny kulturę narodową, a więc ten zbiór cech i dzieł, które identyfikują ludzi we wspólnocie nie tylko etnicznej. „Dialog europejski” to nie rozmowa o Europie, ale zdolność do relacji z ludźmi innej narodowości, odmiennej kultury. Dialog ten czyni ich Europejczykami. „Dialog polski” w tym rozumieniu wymaga w pierwszej kolejności posiadania tożsamości, czyli zdolności do identyfikacji. Będzie to najpierw identyfikacja ze swoimi, poziom tożsamości narodowej. Idąc dalej, wskazać trzeba po-

³ Wypowiedź w dyskusji o dialogu i jedności Europy, „Znak” 1988, nr 394 (3), s. 33–35.

ziom tożsamości człowieka, a więc świadomości istnienia i odrębności wśród swoich. Dialog w tłumie nie występuje. Nie chcę przez to powiedzieć, że dialog jest jakąś relacją elitarną. Nie ma on nic wspólnego z wykształceniem czy pozycją społeczną. By dać drugiemu, trzeba coś mieć. Dopiero potem powstać może chęć i zdolność do dawania i przyjmowania. Moja uwaga skupia się na tej rzeczywistości, w której osiągnięte zrozumienie staje się podstawą budowania więzi.

Tak więc tożsamość jest pierwszym warunkiem relacji, która najbardziej sprzyja budowaniu więzi. Podkreślam sprzyja, ponieważ w żadnym wypadku nie narzuca i nie zobowiązuje. Dodałbym też, nie przesądza o charakterze więzi. Stąd dialog europejski jest postrzegany jako zjawisko związane z jednością różnorodności, z ową specyficzną *unitas multiplex*⁴. Jest traktowany jako przeciwieństwo wszelkiej unifikacji narzuconej, czy to imperialnej czy totalitarnej. Dialog pozwala zachować tożsamość narodową, jednocześnie buduje związek z Innym przez kulturę – ale i ponad kulturami. Deficyt dialogu jest poważną przeszkodą w kształtowaniu wspólnoty europejskiej. Wyraźnie to odróżniam. Wspólnota się rodzi w związkach między ludźmi, Unię budują przedstawiciele wspólnot politycznych. To są odrębne wymiary Europy, które powinny być komplementarne.

Tożsamość nie wystarcza jednak dla dialogu. W przestrzeni europejskiej jest to bardziej widoczne, ponieważ zdajemy sobie sprawę nie tylko z różnic tradycji, ale z odrębności języków. Naszą uwagę zwraca więc to, co pomimo odrębności stwarza nam możliwość przyjmowania i ofiarowania. Czynnikiem nieodzownym dialogu są zatem wartości. Dialog jest relacją ludzi różnych kultur znajdujących przestrzeń komunikacji/wymiany dzięki wyborowi tych samych wartości. Cywilizacja europejska to nic innego jak system wartości, rezultat naszych wyborów wartości⁵. Rzecz nie wydaje się tak oczywista, gdy rozważamy relacje wewnątrz wspólnoty narodowej. Występuje silna presja przekonania, że w narodzie więź jest zapewniowana przez swego rodzaju związek mistyczny. W konsekwencji dialog traktuje

⁴ E. Morin, *Myśleć: Europa*, wola, b.m., ok 1988. Autor podkreśla, że komplementarność odmienności polega nie tylko na syntezie, ale też na antagonizmie.

⁵ Przedstawiam ten problem w: J. Kieniewicz, *Wprowadzenie do historii cywilizacji Wschodu i Zachodu*, Warszawa 2003.

się jako oczywistość. Tymczasem sprawa nie przedstawia się tak prosto. Dla budowania więzi ludzie tej samej kultury potrzebują nie tylko tożsamości, ale też przestrzeni, w której dokonują wszelkiego rodzaju wyborów. Poczucie odrębności jednostki w narodzie jest nieodzowne. Bez niej wspólnota staje się masą, tłuszczą, zbiorem podatnym na kierowanie przez najprostsze popędy. Poczucie swojskości zapewnia kultura. Jednak przyjęcie dziedzictwa to nie wszystko. Dla dialogu decydujące znaczenie ma wybór przynależności cywilizacyjnej⁶.

Warunkiem dialogu jest zatem także dokonywany przez nas indywidualnie wybór wartości. Można to uprościć stwierdzając, że wybór przynależności cywilizacyjnej stwarza nam tę przestrzeń, w której może dojść nie tylko do zrozumienia, ale także do przekazania i przyjęcia daru. Tym darem jest słowami i kulturą wyrażona własna osoba. W ten sposób następuje przekroczenie ograniczeń wynikających z naszego koniecznego wyodrębnienia. Sądzę jednak, że chodzi tu o coś więcej. To nie jest tylko kwestia „bycia człowiekiem dialogu”, co się przekłada na „żyjącego wedle wartości”. Nasz wybór wartości ma konsekwencje w postaci formowania przestrzeni. Przestrzeń wartości to zasięg praktykowania i oddziaływania miłości, prawdy i wolności. Także wartości od nich pochodnych, także tych wykształconych przez ludzką zgodę na kreowanie zasad. Ale dla dialogu niezbędne i wystarczające są te trzy. W praktyce najbardziej dostrzegalna jest potrzeba wolności jako warunku wypowiedzenia się osobowości. To wolność wewnętrzna, wolność przyrodzona i wolność wybrana. A więc nie tylko „wolność dzieci Bożych”. Wolność człowieka, który może nie wiedzieć o swym stworzeniu i zbawieniu. Wolność przede wszystkim zadana. Równie jednak ważna dla dialogu jest wolność zewnętrzna, wolność od wszystkiego co ogranicza człowieka. Wolność, o którą się walczy, której się strzeże, bez której wspólnota czuje się ograbiona z suwerenności. W społeczeństwie ograniczanej wolności dialog staje się trudny, a jego świadoma praktyka może uchodzić za heroizm.

W istocie kolejność wartości tworzących podstawę dialogu jest właśnie odwrotna. Bez miłości dialog nie jest możliwy. Nie da się więc ukryć, że

⁶ J. Kieniewicz, *Stojąc w drzwiach: odczytywanie dziedzictwa i wybór przynależności*, (w:) *Europa Środkowa. Nowy wymiar dziedzictwa*, red. J. Purchla, Kraków 2002, s. 81–92.

człowiek dialogu najpewniej rozumie litanie św. Pawła o miłości. Rozumie, czyli praktykuje. Z drugiej strony egoizm i nienawiść, nierozłączne pokusy człowieka, przekreślają dialog. Prawda jest fundamentem wolności. Kłamstwo wyklucza dialog. Nie tylko wewnętrzne zakłamanie, ale także kłamstwo obecne w sferze publicznej. Dlatego nie sposób pogodzić dialogu z uwiedzeniem przez totalitarną ideologię. A więc miłość, prawda i wolność świadomie wybierane i poświadczane życiem. Dialog nie polega na mówieniu o wartościach, one są konieczne do ukształtowania tej relacji. Ta *trivarga* dialogu jest z gruntu chrześcijańska, ale już od stuleci stała się europejska. Nie w tym sensie, że została oderwana od religii, ale ponieważ doznała adopcji. Nawet wśród tych, którzy uważali, że człowieka należy uwolnić od religijnego przesądu. Spór o wartości jest trudny, ale jest nieuchronny i niezbywalny. Problem powstaje dopiero wtedy, gdy istnienie wartości zostaje zakwestionowane u podstaw.

Problem z dialogiem w życiu wspólnotowym, bo o tym tu mowa, polega na tym, że jest to relacja na wskroś osobista, a równocześnie skrajnie nieegoistyczna. Modelem dialogu jest przecież modlitwa. Chcę przez to powiedzieć, że dialog w pełni występuje wtedy, gdy człowiek zwraca się do Boga. Nadaje to dialogowi pewną wzniosłość, która może w życiu publicznym okazać się nie na miejscu. Nic bardziej obscenicznego od nieustannie powtarzanych przez polityków wezwań do dialogu. Chcielibyśmy sądzić, że nasze relacje z innymi zostaną uszanowane w ich pięknie. Nie jest to możliwe, ponieważ mamy różnego rodzaju zobowiązania, a państwo wobec nas okazuje swoją zwierzchność, domagając się zachowań konformistycznych i kompromisowych. Te trudności nie zmieniają faktu, że dialog zdecydowanie sprzyja zdrowym postawom społecznym i państwowym. Jest to jednak konsekwencja pośrednia, tak więc dialog nie znajdzie się w zestawie propozycji oferowanych nam w politycznym supermarkecie naszych czasów.

Dialog jest postawą, którą trzeba wybierać i formować. Nie jest nikomu przydana z natury. Nie można jej też zadekretować lub zaprowadzić. Nie uczymy się dialogu. Dorastamy do wartości. Z tego zarysu nie wynika jednak, że dialog jest jakimś stanem idealnym relacji między ludźmi unoszącymi się *in odore sanctitatis* nad doczesną trywialnością. Byłoby to

śmieszne i straszne zarazem. Dialog jest kategorią wielkiej prostoty, stąd ludzie dialogu pojawiają się wszędzie i zawsze. Jest jednak pewien problem, mianowicie dialog nie jest cnotą. Pielęgnowanie gotowości do dialogu w samotności jest pozbawione sensu. Dialog wymaga, by nas było „dwu albo trzech”. Stąd wszelki dialog jest społeczny. Z tej racji istnieje bezpośrednia łączność między zdolnością do dialogu a więzią.

Jeśli zadajemy sobie pytanie o stan więzi narodowej – a jest ono w Polsce uzasadnione pomimo piętnastu lat transformacji – to wypada stwierdzić, że ocena skali dialogu społecznego będzie jednym z kluczowych wskaźników⁷. Tu ponownie dochodzimy do rozbieżności między próbami definiowania a potoczną refleksją. To wyobrażenia stwarzają atmosferę przychylną lub nieprzychylną dla zachowań dialogicznych. Otóż przyjmując obiegowe rozumowanie, łączymy dialog z kompromisem. Tymczasem nie jest to refleksja trafna. Zawieranie kompromisów jest w życiu społecznym koniecznością i w tym sensie może być traktowane jako wartość. Tym bardziej gdy zauważamy, że kompromis jest pochodną od prowadzenia sporu. Zawieranie kompromisu w imię osiągnięcia jakichś celów nadrzędnych dokonuje się nieraz w dialogu. Nie są to jednak synonimy. Nie ma miejsca na kompromis wtedy, gdy chodzi o określenie własnej tożsamości lub wybór systemu wartości. Człowiek dialogu na pewno nie szuka zwady, ale kompromis nie jest jego celem.

Docenienie dialogu w życiu społecznym, czyli zauważenie pomnożenia dobra w konsekwencji przewagi takiej postaci komunikacji, sprzyja raczej innej zasadzie społecznej. Tą zasadą jest zgoda. Różnica między zgodą a kompromisem nie zawsze jest wyraźna i może niekoniecznie należy dążyć do jej ustanowienia. Kompromis wydaje się postawą właściwą dla demokracji. Natomiast zgoda może występować w różnych formach organizacji politycznej. Przykładem zgody było funkcjonowanie sejmu Pierwszej Rzeczypospolitej. Postawa dialogu sprzyja szukaniu rozwiązań możliwych do przyjęcia. O ile bowiem kompromis zakłada wzajemne ustępstwa, niekoniecznie zresztą symetryczne, to zgoda jest przyznaniem racji i bywa czę-

⁷ Wątpliwości w tej kwestii zgłaszałem przed dwudziestu laty; por. J. Kieniewicz, *Zagrożenia polskości*, (w:) *Nurty życia społecznego. Studium Kultury Chrześcijańskiej*, Warszawa 1987, s. 82–92; J. Kieniewicz, *Polskość po przejściach*, „Przegląd Powszechny” 2004, nr 12, s. 442–460.

ściej ustępstwem. Dialog prowadzi do zgody, kompromisowi może sprzyjać. W życiu społecznym rozróżnienie to może być istotne.

Dialog jest relacją między osobami, a nie społecznościami czy instytucjami. Mówienie o dialogu między rządem a strajkującymi jest zatem nadużyciem pojęcia. Rozumiem, że mamy do czynienia z przenośnią, ale pociąga ona za sobą niebezpieczne zatarcie znaczeń. Atmosfera dialogu wydaje się koniecznością w społeczeństwie obywatelskim, choć wygląda to na utopię. Państwo prawne stwarza innego rodzaju przestrzeń dla relacji między ludźmi. Jest to przestrzeń kontraktu. Wreszcie demokracja nie jest ani konsekwencją ani przyczyną dialogu. Dla społeczności i instytucji nasza zdolność i gotowość do dialogu jest natomiast podstawą do zdrowego funkcjonowania.

O dialogu społecznym w Polsce mówi się sporo i różnie. Odnoszę wrażenie, że ma się na uwadze przede wszystkim uzgadnianie parametrów współżycia. Społeczeństwu potrzebny jest ład, bez którego chaos staje się nie do zniesienia. To odczucie otwiera drogi do bardzo niebezpiecznych dewiacji. Nie mam kompetencji do wypowiadania się o celowości czy trafności różnych zastosowań pojęcia dialogu w analizie czy przedstawieniu rzeczywistości społecznej. Przypominanie o wartościach, powoływanie się na tożsamość, apele o dialog to są deklaracje o znikomej wartości oddziaływania. Wszystko to bowiem, a więc i dialog, należy do sfery uczynków. Dialog jest tą wyjątkową postacią życia wedle wartości, która jest związana ze słowem. To jednak nie znaczy, że chodzi w nim jedynie o słowa.

O stanie polskiego dialogu powinni się wypowiedzieć filozofowie czy psychologowie rozważający kondycję ludzką w konkretnej sytuacji. Historyk bada raczej fenomeny zarejestrowane w źródłach, które nie wspominają o dialogu. Nie ma więc i historycznego ujęcia tej relacji ani też wyobrażenia o wpływie dialogu na polskie życie publiczne. W istocie bowiem jest on zepchnięty głęboko w prywatność. Na powierzchni znajdujemy będące w obiegu liczmany. Dlatego postawione na początku ni to pytanie, ni to deklaracja nie mogą znaleźć odpowiedzi lub spełnienia.

Ludzie zatroskani o kondycję narodu, dostrzegający znaczenie więzi społecznych, są zwykle uwrażliwieni na wszystko, co składa się na dialog.

Podstawowy patriotyzm zdaje się wymagać postaw i działań na rzecz silniejszych więzi i postaw bardziej wyrazistych. Oznacza to, w moim mniemaniu, świadomość potrzeby elit. Elita to właściwie ludzie dialogu. Przyszłość dialogu zależy wyłącznie od ludzi, to jest od ich samodzielnych wyborów w sferze wartości i w sferze postaw. Obu można sprzyjać, prowadząc sensowną politykę. Nie należy sądzić, że stanie się ona bardziej skuteczna, gdy nazwiemy ją polityką na rzecz dialogu społecznego. Jest wręcz przeciwnie.

Nie za bardzo więc odpowiadam na postawione nam pytania. Nie dlatego, żebym je miał za mało ważne. Z mego punktu widzenia powinno się mówić o debacie, czy to dotyczy wartości czy programów. Debata ma wiele cech wspólnych z dialogiem, ponieważ na pewno wymaga przestrzeni wspólnych wartości. Nie jest jednak relacją interpersonalną, a prezentacją. W debacie role są rozdzielone. Podobnie rzecz ma się z rynkiem. Jeśli sfera wartości jest dotknięta jakimiś ułomnościami, zwłaszcza gdy nie dostaje wolności, trudno mówić o ukształtowaniu się rynku. Z lekceważeniem wypowiedziałem się o supermarkecie jako o figurze oferty idei politycznych. Szło mi o to, że w supermarkecie jesteśmy klientami dokonującymi wyboru. Rynek idei to figura prezentacji i konfrontacji poglądów, a więc nie tylko zawierania transakcji. Także konkurencji i zmian. Słowem, niedoskonałości rynku mają przyczyny zbliżone do tych, które ograniczają przestrzeń dialogu. Obok debaty można rozważać problem komunikacji społecznej w ogóle. Dialog jest tylko jedną z postaci tej komunikacji.

Jakie zatem są perspektywy polskiego dialogu? W moim rozumieniu chodzi o to, czy w relacjach Polaków zdolność i chęć dialogu będzie wzrastać. Odpowiada to pytaniu o ich tożsamość oraz o przynależność cywilizacyjną. Postulat jest oczywisty, nasze istnienie i nasze miejsce w Europie są ściśle skorelowane ze zdolnością do dialogu. Perspektywy zatem widzę optymistycznie. Książd Józef Tischner nie zajmowałby się dzisiaj dialogiem między chrześcijaństwem a socjalizmem. Debata o Polsce wymaga zupełnie nowych koordynat. Natomiast podjąłby pytanie o kondycję ludzką, czyli o to, co i dlaczego utrudnia Polakom rozszerzanie sfery dialogu. Otóż uważam, że w Polsce będzie więcej rynku i więcej debaty, gdy ludzie zaczną śmiało wybierać wartości. A to jest nie tylko możliwe. To się dzieje, ponieważ, jak sądzę, Polacy zauważyli, że w globalnym świecie ich szansa polega na pozostaniu sobą.

Tej optymistycznej wizji nie zaprzecza niska frekwencja w wyborach parlamentarnych. Potwierdza jedynie to, że więź, a zatem także świadomość, uległa dalszemu osłabieniu. Odbudowa więzi wymaga wskazania rozwiązań, które okażą się sprzyjające dialogowi. Mogą być nimi wyraźne kroki wspierające edukację pojmowaną jako proces formacyjny. Powinny nimi być zachowania elit, bez których wspólnota narodowa obyć się nie może.

*Andrzej Nowak**

Dialog społeczny i konflikt

Dialog społeczny toczy się między grupami społecznymi. Jest to jeden z najbardziej konstruktywnych sposobów rozwiązywania konfliktów interesów między nimi. Nie tylko prowadzi do radzenia sobie z konfliktami społecznymi, lecz również jest narzędziem postępu społecznego, buduje tkankę społeczną i kapitał społeczny. Po to, by dialog społeczny mógł zaistnieć i odgrywać istotną rolę w społeczeństwie, muszą być spełnione określone warunki, w szczególności muszą istnieć grupy mogące go prowadzić. Nie każda debata społeczna jest konstruktywnym dialogiem, gdyż niektóre jej formy mogą prowadzić do polaryzacji społeczeństwa i zaostrzenia konfliktu. Zdolność społeczeństwa do prowadzenia konstruktywnego dialogu jest jednym z warunków jego bezpiecznego rozwoju.

Zgodnie z Arystotelesowską wizją pluralizmu debata społeczna jest jednym z podstawowych narzędzi demokracji. Jedną z form dialogu społecznego jest debata parlamentarna. Zgodnie z tą wizją różne grupy społeczne nieustannie wchodzą w konflikt z innymi grupami po to, by móc zaspokoić swe potrzeby. Dialog, dzięki temu, że artykułuje interesy i potrzeby poszczególnych grup, umożliwia znalezienie takiego rozwiązania, które w maksymalnym stopniu pozwala uwzględnić interesy wszystkich stron konfliktu. Dzięki temu możliwe jest połączenie w społeczeństwie wielości w jedność. Jeżeli wynikiem dialogu jest znalezienie rozwiązania, które zaspokaja interesy różnych grup w sposób niekonfliktowy, staje się on nośnikiem postępu społecznego. Dzięki dialogowi konflikt społeczny może więc

* Instytut Studiów Społecznych UW, Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej w Warszawie.

być źródłem postępu. Gdy znalezienie rozwiązania zmniejszającego konflikt interesów nie jest możliwe, dialog może doprowadzić do kompromisu możliwego do zaakceptowania przez wszystkie strony konfliktu.

Po to, by dialog społeczny miał szansę się rozwinąć, muszą istnieć strony dialogu. Po to, by ludzie mieli świadomość uczestnictwa w nim, strony dialogu powinny być grupami społecznymi, zbiorami ludzi połączonych świadomością więzi. Członkowie tych grup powinni się z nimi utożsamiać, mieć poczucie częściowej choćby wspólnoty interesów z innymi członkami grupy. W takich warunkach dialog prowadzony przez grupy społeczne służy ich rzeczywistym interesom, a powstałe uzgodnienia będą respektowane przez członków grup. Gdy strony dialogu nie reprezentują rzeczywistych tożsamości i interesów grup społecznych, debata ma małe przełożenie na to, co dzieje się w społeczeństwie. Brak wyraźnego wyodrębnienia grup, które mogłyby prowadzić dialog, wydaje się jedną z głównych przeszkód w prowadzeniu dialogu społecznego w Polsce. W naszym kraju ludzie utożsamiają się głównie z poziomem najbardziej szczegółowym – rodziny lub najbardziej ogólnym – państwa lub Kościoła. Na tych poziomach trudno jest prowadzić dialog społeczny, ponieważ jest tych grup zbyt dużo (rodziny) lub wszyscy praktycznie należą do jednej grupy. Utożsamianie się ze średnim poziomem jest wśród Polaków stosunków słabe. Potencjalne grupy średniego poziomu oparte na wspólnotcie lokalnej, zawodowej, wiekowej lub na przykład wspólnotcie wartości czy interesów są stosunkowo słabe. A to takie właśnie grupy tworzą zwykle tkankę społeczną, która sprawia, że społeczeństwo na drodze dialogu potrafi się rozwijać. Ich istnienie jest jednym z głównych czynników decydujących o poziomie kapitału społecznego w społeczeństwie, wyrażającego się zaufaniem i gotowością do współdziałania. O ważności grup dla dialogu pisze też profesor Janusz Tazbir.

Zależność dialogu od kapitału społecznego jest dwukierunkowa. Dialog społeczny buduje tkankę społeczeństwa, w którym się toczy. To, że jakaś grupa wyraża poglądy i wartości ludzi lub dba o ich interesy sprawia, że ludzie z nią się bardziej utożsamiają, rośnie ich zaufanie do grupy i jej członków, są bardziej gotowi do współpracy. Dzięki temu rośnie w społeczeństwie kapitał społeczny, a ludzie łatwiej akceptują kompromisy wypra-

cowane przez grupę. Doświadczenia, że konflikt interesów z innymi grupami można rozwiązywać na drodze dialogu pokazują konstruktywną drogę rozwiązywania konfliktów. Okazuje się zatem, że konflikt, zamiast burzyć kapitał społeczny, może przyczynić się do jego budowania. Budowaniu kapitału społecznego służy szczególnie sukces, choćby niewielki, we wspólnych przedsięwzięciach. Doświadczenie konstruktywnego rozwiązania konfliktu może być właśnie takim sukcesem.

Na przebieg dialogu i na jego skutki wpływ ma to, jakie są grupy średniego szczebla, na ile złożony i różnorodny jest ich zbiór. Jednoczesne uczestnictwo człowieka w wielu grupach pozwala mu wspólnie z innymi realizować wybrane wartości czy interesy nawet wtedy, gdy pewne wyznawane przez niego wartości różnią go od innych członków grupy. Student, dla którego wartością jest ochrona środowiska, może wraz z kolegami brać udział w dialogu w sprawie interesów studentów, a w ramach innej grupy włączać się do dialogu dotyczącego środowiska. Wielość grup i tożsamości powoduje, że z różnymi ludźmi inne rzeczy nas dzielą a inne łączą. Dbanie o własne wartości lub interesy prowadzi do sojuszu z grupą dbającą o te dobra. W ramach realizacji innych interesów łączymy się z innymi ludźmi. Dzięki temu konflikty ograniczone są do jednego aspektu rzeczywistości. Konflikt nie powoduje pęknięcia społeczeństwa na nawzajem zwalczające się stronnictwa. Z daną osobą pewne rzeczy mnie dzielą a inne łączą. Dialog toczący się wielopłaszczyznowo między różnymi grupami stwarza możliwość rozwiązywania konfliktów bez dzielenia społeczeństwa na wrogie obozy.

Nawet wtedy, gdy ludzie utożsamiają się tylko z jedną grupą społeczną, można nawiązać konstruktywny dialog. Każdą zdrową relację między osobami, grupami społecznymi czy narodami określa zazwyczaj wiele spraw i wymiarów. To, co dzieje się na jednym wymiarze, jest względnie niezależne od innych. Zwykle na niektórych płaszczyznach istnieje konflikt, na innych go nie ma. Między sojusznikami współpraca opiera się na wspólnocie niektórych interesów, kiedy indziej mogą one być sprzeczne. Dopóki konflikt dotyczy niewielkiej części wymiarów dopóty jest on potencjalnie rozwiązywalny. Rozwiązanie konfliktu w drodze dialogu podobne jest do rozwiązania problemu: należy przede wszystkim ustalić, czy da się znaleźć

takie rozwiązanie, przy którym sprzeczność interesów zniknie, a jeśli to jest niemożliwe, należy ustalić, które z nich są najważniejsze dla każdej strony i znaleźć rozwiązanie zapewniające ich uwzględnienie i realizację. Właśnie w dialogu możliwe jest artykułowanie rzeczywistych interesów, sprawdzenie czy sprzeczność interesów jest rzeczywista czy pozorna, oraz szukanie rozwiązań, które mogą zaakceptować wszystkie strony. Złożony charakter relacji i interesów między stronami pozwala znajdować rozwiązania przynoszące postęp społeczny, suma zaspokojonych interesów różnych grup się zwiększa, a napięcia społeczne się zmniejszają.

Analiza rzeczywistych sytuacji pokazała, że konflikt staje się trudny do rozwiązania i burzy tkankę społeczeństwa wtedy, gdy staje się dominującą osią jego życia. Jednym z głównych zjawisk sprzyjających tym złym zjawiskom jest uproszczenie relacji społecznych i niewłaściwe rozumienie relacji interesów między stronami. Podział społeczeństwa na dwa przeciwne obozy: swoi – obcy, dobrzy – źli, sprawia, że konflikt staje się wszechogarniający i praktycznie niemożliwy do rozwiązania. Niemożliwe okazuje się nawiązanie dialogu, w którym byłyby artykułowane interesy czy wartości ważne dla obu stron i w którym poszukiwane byłyby rozwiązania maksymalnie je realizujące. Konflikt staje się grą o sumie zerowej, gdyż jakkolwiek zysk drugiej strony spostrzegany jest jako strata po stronie własnej. Dialog przeradza się w walkę.

Dialog staje się trudny wtedy, gdy strony niewspółmiernie silnie reagują na niewielki nawet atak ze strony przeciwnika. Eskalacja konfliktu prowadzi do spirali agresji i w rezultacie do zerwania pozytywnych relacji, pozwalających na ewentualne współdziałanie w innych sprawach. Eskalacji służy także brak reakcji na sygnały gotowości do pojednania. Szczególnie utrudniają przejście od konfliktu do pojednania zabiegi zmierzające do dehumanizacji strony przeciwnej. Wtedy bowiem, gdy drugą stronę widzimy jako człowieka podobnego do nas, pomimo pojawiania się poważnych nawet konfliktów interesów, istnieje szansa przejścia od walki do dialogu. Wtedy jednak, gdy druga strona przedstawiana jest jako twór nieludzki, w podstawowy sposób różniący się od nas, ze swej istoty zły, szansa na porozumienie jest niewielka. Tak więc sposób, w jaki strony wzajemnie się postrzegają i jak na siebie reagują w znacznej mierze decyduje o szansie pozytywnego rozwiązania konfliktu.

Gotowość do prowadzenia dialogu nie oznacza rezygnacji z własnego systemu wartości, interesów i przekonań. Postęp w wyniku rozwiązania konfliktu pojawia się wtedy, gdy dochodzi do rozwiązania, które maksymalnie zaspakaja interesy wszystkich stron, przy możliwie minimalnych ograniczeniach interesów własnych. By dialog mógł prowadzić do postępu, niezbędne jest zarówno wyłonienie się grup gotowych do prowadzenia go, jak i to, by dotyczył rzeczywistych potrzeb i wartości. Artykulacja tych potrzeb przez grupy służy więc dialogowi, gdyż umożliwia oparcie rozwiązania o to, co rzeczywiście łączy, oraz znalezienie kompromisu w zakresie tego, co dzieli. Koncentrowanie dialogu na problemach pozornych jest z tej perspektywy szkodliwe, gdyż taki dialog nie jest w stanie rozwiązać rzeczywistych problemów, a doświadczenie porażki zmniejsza szansę na stosowanie tej formy rozwiązywania problemów społecznych w przyszłości.

Konflikt jest niemal synonimem problemów społecznych. A jednak konflikt społeczny nie musi być wcale zjawiskiem negatywnym, choć w naukach społecznych ma on zdecydowanie negatywną konotację. Wręcz przeciwnie, wtedy gdy jest rozwiązywany w drodze dialogu, może stać się źródłem pozytywnych zmian. Zwłaszcza wtedy, gdy jego kulminacją jest znalezienie rozwiązań, akceptowanych przez strony konfliktu i służących rozwojowi społeczeństwa. Z tej perspektywy konflikt społeczny czy polityczny może doprowadzić do koordynacji interesów różnych grup społecznych. Może też służyć polepszeniu więzi społecznych lub podniesieniu jakości życia poszczególnych ludzi. Za konstruktywny uznajemy dialog toczący się między grupami reprezentującymi rzeczywiste interesy i wartości ludzi, o takiej formie, która skłania do szukania rozwiązań możliwych do zaakceptowania przez wszystkie strony, a nie do wygrania jednej kosztem innych. Dialog społeczny pozwalający na łączenie sprzecznych interesów różnych grup społecznych jest więc podstawą demokracji.

*Barbara Fedyszak-Radziejowska**

O debatach i społeczeństwie obywatelskim

Pozwolę sobie wyrazić zdecydowane poparcie dla pomysłu „debatowania o debacie publicznej w III RP”. Po szesnastu latach wielu – może nawet większość – obywateli ma poczucie stopniowego oddalania się od siebie środowisk i grup społecznych, zamykania we własnym gronie i rosnącego poczucia „wielkiej nieobecności” licznych grup interesariuszy we wspólnocie obywatelskiej. Być może problem jest daleko głębszy i dotyczy samych podstaw funkcjonowania naszego społeczeństwa, które coraz mniej licznie uczestniczy w wyborach, nie jest zdolne efektywnie korzystać z instrumentu referendum w sprawie odwołania władz samorządowych także wtedy, gdy przedstawiciele tych władz są aresztowani lub skazani za przestępstwa. Możemy potraktować te sygnały jako niepokojący wskaźnik zaniku poczucia wspólnoty zdolnej do uczestnictwa w demokracji, w życiu publicznym. Znamienne, że nawet w sytuacji, gdy społeczeństwo obywatelskie podejmuje jakiś problem, na przykład przedkłada społeczny projekt ustawy, jego przedstawiciele nie znajdują dla siebie miejsca w społecznym dyskursie.

Dobłą egzemplifikacją tej tezy są inicjatywy obywatelskie, które pojawiły się w ubiegłym roku: stowarzyszenie samotnych matek domagających się przywrócenia funduszu alimentacyjnego, równie spontaniczny i obywatelski ruch przeciw przemoc w mediach czy też aktywność pracowników „Biedronki” przeciw łamaniu praw pracowniczych. Wszystkie te wydarzenia były obecne w mediach jedynie w roli newsów, ich liderzy nie uzyskali

* Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN.

jednak statusu uczestników społecznego dyskursu. Podobnie bagatelizowane są w mediach tak klasyczne formy społeczeństwa obywatelskiego, jak związki zawodowe czy izby rolnicze. Pozornie jest to problem dziennikarzy, mediów czy osób decydujących o ofercie programowej radia czy telewizji, odwołujących się do argumentu oglądalności. Obawiam się jednak, że problem jest daleko głębszy.

Wszak pojawiły się nowe formy debaty publicznej w mediach, mające charakter spotkania ludzi o różnych poglądach, na przykład *Warto rozmawiać* w programie TVP 2, *Debata* w TVP 1 i *Bilans Trójki* w TVP 3. Inną formą dialogu społecznego są programy znanych gwiazd dziennikarskich rozmawiających z politykami i przedstawicielami elit opiniotwórczych. Wszystko to jednak nie poszerza oferty merytorycznej publicznego dyskursu, nie zapewnia też udziału społeczeństwa obywatelskiego w tym dyskursie. Zaproszona przez T. Lisa, K. Durczoka czy K. Najszubę publiczność tworząca studyjną widownię, odgrywa jedynie rolę obywateli, sporadycznie lub wcale nie reprezentując konkretnych środowisk czy stowarzyszeń.

Mimo pewnych zmian w ramówce programów telewizyjnych obywatele nie dostrzegli, jak sądzę, jakościowej zmiany. Nadal w debacie dominują politycy i elity polityczne, tocząc na naszych oczach powierzchowne i aktor-skie potyczki słowne, koncentrując się na błyskotliwych ripostach i ciętych polemikach. Liczne środowiska i poszczególne grupy interesariuszy ważnych kwestii społecznych są trwale milczącą, bo nieobecną stroną debaty publicznej.

Szukając przyczyn złego stanu komunikacji społecznej, proponuję inaczej sformułować pytanie. Chodzi bowiem o to: jak prowadzić debatę społeczną, by stała się spoiwem wspólnoty obywateli i efektywnym narzędziem demokracji? Postulat dokonania zmian organizacyjnych dialogu, by „zmienić Polskę na lepsze”, nie wydaje się wystarczająco jasny i przekonujący.

Debata powinna bowiem objąć także kwestię tego, czym jest „zmienianie Polski na lepsze”. Dla różnych środowisk „lepsze” oznacza inne cele, inne instrumenty i inne rozwiązania. Pytanie o rolę debaty w budowaniu sprawnej i efektywnej demokracji wymaga przyjęcia kilku założeń wyjściowych, założeń, których dyskusowanie jest, moim zdaniem, niepotrzebną stratą czasu.

1. Przede wszystkim przyjmujemy, że demokracja ma wymiar substancjalny, to znaczy, jest dobrem wspólnym, którego trwanie jest dla Polaków cenną, pozytywną wartością.
2. Podobnie substancjalną wartość ma państwo, niezależnie, czy nazwiemy je III czy IV RP, państwo, którego władze poczuwają się do odpowiedzialności za rozwiązywanie problemów gospodarczych, społecznych i politycznych.
3. Nie ma także potrzeby, aby dyskutować nad znaczeniem i kluczową rolą społeczeństwa obywatelskiego, czyli dobrowolnie tworzonych organizacji i stowarzyszeń wypełniających przestrzeń pomiędzy rodziną (i jednostką) a państwem w publicznym dyskursie.
4. Kolejną wartością, bez której funkcjonowanie demokracji jest niemożliwe, jest akceptacja konsekwencji wynikających z rywalizacji toczonej przez partie polityczne w walce o władzę. Czas zaakceptować wielowariantowość programową w rozwiązywaniu konkretnych problemów społeczno-gospodarczych. Czas odejść od mitu zrodzonego w naukowym socjalizmie, że oto każdy problem ma jedno, merytorycznie najlepsze, „naukowe” rozwiązanie. Dzisiaj ten mit ma zwykle twarz radykalnego liberała lub socjalnego związkowca. Polityka i demokracja uczą pokory wobec zasady, iż każde rozwiązanie ma swoją wewnętrzną hierarchię celów, kosztów społecznych i konsekwencji, a debata publiczna służy uczciwemu przedstawieniu każdego z proponowanych rozwiązań.
5. Proponuje też wybrać tematy, w których w pełni widoczne są różnice poglądów, ale kompromis jest możliwy, i takie, w których kompromisu nie da się osiągnąć. Wśród pierwszych proponuję rozważyć na przykład zakres interwencji państwa w gospodarkę, konsekwencje i sposób reagowania na błędy rynku, zalety i wady liberalizmu gospodarczego, podobnie jak zalety i wady interwencji państwa w gospodarkę. Problemy niepoddające się rozwiązaniom kompromisowym, dla których złoty środek nie istnieje, to przykładowo: aborcja, eutanazja, małżeństwa osób jednej płci itp. W tych kwestiach debata polega na prezentacji argumentów i pozostawienie decyzji obywatelom. Decyzja oznacza wybór i kształtowanie własnych poglądów i popieranie partii proponującej zgodne z naszymi poglądami konkretne rozwiązania.

Debata publiczna wymaga oczywistej dla demokracji akceptacji zasady, iż nie we wszystkich sprawach dojdziemy do porozumienia, że nie ma w realnej, społecznej i gospodarczej rzeczywistości złotych środków i centrowych kompromisów. Istnieją różne rozwiązania, proponowane w wyniku odmiennej kalkulacji kosztów, efektów, granic ryzyka i granic społecznej biedy czy stopnia deprivacji potrzeb.

Rzetelna debata publiczna składa się bowiem z dwu procesów. Z jednej strony poszczególne środowiska dopracowują swoje rozwiązania i dyskutują we własnym gronie możliwie najlepsze merytorycznie rozwiązania zgodne z własną aksjologią i hierarchią celów. Te środowiska to zarówno partie polityczne, grupy społeczno-zawodowe, organizacje pozarządowe, środowiska samorządowe, także samorządy zawodowe i izby gospodarcze, na przykład izby rolnicze oraz organizacje pracodawców.

Z drugiej strony debata powinna prowadzić do spotkania, a czasami konfrontacji odmiennych merytorycznie rozwiązań prezentowanych przez różne środowiska.

Celem tak pomyślanej debaty społecznej jest spowodować, by obywatele:

- byli poinformowani, czyli znali stanowiska, programy i rozwiązania proponowane przez poszczególnych interesariuszy;
- rozumieli, mniej więcej, konsekwencje poszczególnych rozwiązań;
- poznali wiarygodność osób proponujących owe rozwiązania;
- usłyszeli krytyczne argumenty wszystkich stron sporu;
- byli zdolni podjąć obywatelską decyzję polegającą nie tylko na wrzuceniu kartki wyborczej, ale także na świadomym kształtowaniu własnych poglądów.

Tak buduje się możliwie podmiotową i autonomiczną opinię publiczną, zdolną do sprawowania kontroli nad władzą.

Oczywiście w tym nieco idealistycznym obrazie debaty publicznej kluczową rolę pełnią dziennikarze, media i politycy, ale także eksperci, elity społeczne, naukowe, przywódcy opinii publicznej, liderzy organizacji pozarządowych itp. Przypominam, że to opinia publiczna, deklarując w sondażach systematyczny spadek poparcia dla rządu L. Millera, niejako wymusiła szereg politycznych decyzji: zmianę premiera, powstanie nowych partii

czy rozpad SLD. Jednak bez niezależnych mediów i niezależnego dziennikarstwa autonomiczna i podmiotowa opinia publiczna nie jest możliwa.

Proponuję odejście od fałszywych założeń apolityczności i neutralności uczestników debaty społecznej, w tym także ekspertów. Często neutralność eksperta jest używana jako argument na rzecz jego wiarygodności. Niezależność nie oznacza wszakże braku poglądów, a merytoryczny profesjonalizm nie jest tożsamy z neutralnością polityczną. Tworzenie fałszywego wizerunku apolityczności poszczególnych rozwiązań odbiera wiarygodność uczestnikom debaty i niszczy zaufanie do elit społecznych.

Organizacyjne i nie tylko organizacyjne postulaty sformułowałabym tak:

1. Nie uciekać od polityki tam, gdzie jest to niemożliwe.
2. Nie manipulować opinią publiczną, obietnicami apolitycznych ekspertów i apolitycznych rozwiązań.
3. Poszerzyć skład uczestników debaty o ekspertów, liderów organizacji pozarządowych, przedstawicieli środowisk samorządowych, związków zawodowych, izb rolniczych, nie wymuszając na przedstawicielach tych środowisk ukrywania lub bagatelizowania własnych poglądów, ani też autoidentyfikacji politycznej, jeśli jej nie mają.
4. Sprawić (nie mam pojęcia jak!), by debaty toczone na konferencjach i seminariach nie ograniczyły swoich widzów do małego grona uczestników.
5. Znaleźć formułę obecności lokalnych, środowiskowych i merytorycznych liderów w debatach toczonej na oczach widzów i słuchaczy.

I na koniec warto dodać, iż niezwykła zaleta demokracji – wynalazku europejskiej cywilizacji – polega także na tym, że w okresie przedwyborczym debaty publiczne rozkwitają, co jednak nie sprzyja ich merytorycznemu poziomowi. Gdy nowy rząd stabilizuje swoją pozycję, elity opiniotwórcze zajmują nowe miejsca w układzie władzy i debata publiczna ponownie zamiera. Tymczasem właśnie wtedy jest szczególnie potrzebna, a dzięki stabilizacji politycznej może odzyskać wysoki poziom merytoryczny. Jednak w okresie powyborczym debatowanie wymaga szczególnej, niewymienionej dotychczas cnoty – odwagi tych, których poglądy i opinie nie są „po myśli” nowego rządu i nowych elit politycznych.

*Tomasz Zarycki**

O dwoistej naturze struktur dialogu społecznego

Dobrze funkcjonujący dialog społeczny jest jedną z podstaw funkcjonowania państwa demokratycznego. System dialogu społecznego nie może być jednak utożsamiany z systemem politycznym. Ich związki są bliskie, a obie sfery muszą rządzić się podobnie demokratycznymi prawami. Organizacja systemu dialogu społecznego musi jednak spełniać ten wymóg w znacznie mniej dosłowny sposób, w szczególności system dialogu społecznego nie może być definiowany i regulowany wyłącznie przez sztywne, formalne normy prawne. Struktury i formy dialogu społecznego, gwarantujące jego prawidłowe działanie oraz reprezentatywność, przejrzystość czy uczciwość, są w dużym stopniu kształtowane na skutek mniej lub bardziej formalnych zwyczajów i konwencji, a ich przestrzeganie odbywać się musi przede wszystkim w ramach samoregulacji, a tylko w wypadku drastycznych naruszeń, na podstawie procedur sądowych. I tak na przykład media – podstawowe forum dialogu społecznego – nie mogą być ograniczane przez zbyt sztywne procedury określające tematy czy sposoby relacjonowania wydarzeń społeczno-politycznych. Prawo powinno regulować jedynie sytuacje nadzwyczajne, na przykład takie, w których działanie mediów narusza wyraźnie i niesprawiedliwie dobra konkretnych osób czy instytucji.

Brak formalnych, prawnych regulacji systemu dialogu społecznego nie oznacza, że nie powinien on mieć swojej struktury analogicznej do struktury systemu politycznego, gdzie podstawą są na przykład reguły wyborcze,

* Instytut Studiów Społecznych UW.

a następnie zasady funkcjonowania parlamentu i innych ciał politycznych. Struktura, choć nie może być i nie jest zwykle tak sztywna jak w prawie określonym systemie politycznym, jest niezbędna do skutecznego funkcjonowania tej sfery. Poprzez strukturę rozumiem tu między innymi ogólnie przyjęte w danym kraju zasady funkcjonowania poszczególnych forów debaty publicznej, a przede wszystkim ich hierarchię (ważności, prestiżu itp.), istnienie powszechnie uznawanych, wspólnych dla całego systemu dialogu autorytetów, najważniejszych wartości czy podstawowej wiedzy o przeszłości i teraźniejszości danej społeczności. Brak takiej mniej lub bardziej wyraźnej i powszechnie uznawanej struktury pola dialogu społecznego uniemożliwia de facto odgrywanie przezeń poważniejszej roli w życiu społeczno-politycznym.

Doskonałego przykładu marginalizacji systemu dialogu społecznego, który formalnie istnieje i nie jest ograniczany zbyt poważnymi barierami prawnymi, dostarcza nam współczesna Rosja. Poza telewizją, która podlega tam obecnie ścisłej politycznej kontroli i cenzurze, większość innych mediów, w szczególności prasa, oraz inne fora debaty publicznej nie są dziś zbyt drastycznie ograniczane przez działania władz czy bariery prawne. Pomimo względnej wolności a nawet żywotności debaty publicznej w Rosji nie można jednak mówić o istnieniu w tym kraju prawdziwego systemu dialogu społecznego. Jedną z fundamentalnych przyczyn tego stanu rzeczy stanowi brak wspomnianej wyraźnej struktury sfery publicznej. Sfera ta jest niebywale chaotyczna, składa się z dziesiątków niezwiązanych ze sobą pól debaty. Pola te tworzą często własne światy, uniwersa odwołujące się do własnych wartości, interpretacji historii i rzeczywistości, własnych autorytetów. Pomiędzy polami tymi rzadko dochodzi do dialogu, nie mówiąc już o tym, że trudno mówić o ustaleniu pomiędzy nimi szeroko akceptowanej hierarchii. Zdarza się często, że uczestnicy debaty w określonych polach nie tylko nie znają treści debat w innych kręgach, ale niewiele wiedzą o ich istnieniu. Efektem tego braku struktur w rosyjskiej sferze publicznej jest jej całkowita marginalizacja i brak wpływu na realne życie społeczne, w szczególności polityczne czy gospodarcze. Na wielu izolowanych polach toczy się pozornie równoprawny dialog społeczny, często na wysokim poziomie merytorycznym, z udziałem przedstawicieli wielu środowisk. Jego echa do-

chodzą jednak do wąskiej grupy osób śledzących rozwój danego pola. W efekcie jest to dialog pozorny, bo żaden z liczących się aktorów sceny publicznej nie czuje presji, by choćby z treścią danej debaty się zapoznać. Tymczasem w dobrze ustrukturyzowanej przestrzeni publicznej istnieją mechanizmy, które istotne głosy w toczonych na niższych szczeblach debatach są w stanie zauważyć i zwrócić na nie uwagę szerszej publiczności. W efekcie głosy te spotkać się muszą z odpowiedzią tych, do których zostały zaadresowane, stać się też muszą przedmiotem szerszej debaty.

Przykład rosyjski pokazuje bardzo wyraźnie, że wykształcone ogólnokrajowe struktury przestrzeni debaty publicznej są niezbędne, by nie była ona tylko instytucją fasadową, by dialog społeczny nie toczył się w zamkniętych kręgach czy też na przykład, jak to bywa także w Rosji, nie był pozbawionym większego znaczenia spektaklem na użytek zewnętrznych obserwatorów. Mniej spektakularnych przykładów marginalizacji potencjalnie istotnych forów dialogu społecznego znaleźć oczywiście można także wiele i w Polsce. Na przykład dyskusje organizowane czasem na pozornie wysokim, rządowym szczeblu, nawet gdy nie okazują się jałowe, przechodzą często bez większego echa. Ciekawe wydawnictwa czy konferencje, a nawet demonstracje nie odgrywają często takiej roli, jaką powinny w debacie publicznej, biorąc pod uwagę znaczenie poruszanych na nich problemów czy prawo do bycia wysłuchanym, jakie powinno przysługiwać różnym grupom społecznym. Zwykle marginalizacja taka wiąże się jednak nie z jakimiś barierami prawnymi, ale z niedostateczną integracją owych forów w ogólną strukturę dialogu społecznego w Polsce. Jak zwracał bowiem uwagę Anthony Giddens, struktury społeczne są z jednej strony podstawą życia społecznego, z drugiej stanowią jego barierę utrudniającą osiągnięcie wielu istotnych celów. Nie inaczej jest ze strukturami systemu dialogu społecznego. Ich brak czy słabość powoduje, że dialog społeczny będzie pozorny, bo stanie się on chaotyczną dyskusją w małych niemających na nic wpływu grupkach i wyizolowanych środowiskach. Jednak stabilne, wyraźne struktury pola dialogu społecznego są także dla niego ograniczeniem. Powodują, że debata publiczna nabiera znaczenia, ale dostęp do niej i prawa jej przebiegu kontrolowane są przez określony krąg uprzywilejowanych elit nadzorujących jej kluczowe struktury. Biorąc pod uwagę nieformalną

w dużym stopniu naturę sceny publicznej, elity te zwykle nie są wyłanianie na podstawie ściśle zdefiniowanych mechanizmów demokratycznych. Ten fakt oraz kluczowa rola dialogu społecznego w państwie demokratycznym kładą na elity kontrolujące struktury sceny publicznej niezwykle dużą odpowiedzialność. Winny one być świadome wagi swej roli i nieformalności swego mandatu, które wymagają szczególnej samoświadomości i samo-kontroli.

Chciałbym zatem zwrócić tu uwagę na wybrane funkcje elit formujących i utrzymujących struktury debaty politycznej. Z funkcjami tymi wiąże się zawsze konieczność zachowania równowagi – z jednej strony pomiędzy koniecznością utrzymania owych struktur w celu zapewnienia efektywności przebiegu dialogu społecznego, z drugiej strony pomiędzy łagodzeniem ograniczeń w dostępie do dialogu i jego swobodzie. W szczególności wspomnieć tu warto o następujących elementach struktury dialogu społecznego.

Dialog społeczny musi być, po pierwsze, polem interakcji obywatelskiej zorientowanej na dobro wspólne. Nie może być – jak wspomniano – utożsamiany z polem starć politycznych (których miejscem jest na przykład parlament) i nie może przebiegać wyłącznie w kategoriach partykularnych interesów politycznych. W tym kontekście pamiętać jednak należy, że pojęcie dobra wspólnego jest również polem negocjacji, nierzadko ścierania się racji o charakterze politycznym. Dlatego kontrolujący przebieg dialogu winni zachowywać ostrożność, definiując dobro wspólne w konkretnych debatach, i być świadomi tego, że nie powinno się zbyt pochopnie ograniczać dostępu do debaty innym, sugerując niezgodność ich intencji z ideą dobra wspólnego. Stoimy bowiem w praktyce często wobec sytuacji, kiedy uprzywilejowani w polu dialogu społecznego przedstawiają korzystne dla siebie rozwiązania jako tożsame z dobrem powszechnym, a poglądy swych adwersarzy próbują dezawuować jako partykularne postulaty o charakterze merkantylnym czy czysto ideologicznym. Jak się wydaje, dialog społeczny nie może w praktyce odrzucać ze swego pola debat czysto politycznych a nawet partyjnych w swym charakterze. Polityka i system partyjny są bowiem ważnymi elementami komunikacji społecznej i negocjacji interesów grupowych. Muszą one jednak być nazywane po imieniu – polityczność nie

może bowiem ukrywać się pod płaszczykiem bezinteresowności, ponadpartyjności i wzniosłych haseł o dobru wspólnym.

Mówiąc o polityce w dialogu społecznym, zwrócić można uwagę, że przynależność do partii politycznych, innych organizacji o charakterze politycznym i nie tylko, w szczególności zajmowanie w nich odpowiedzialnych stanowisk są czynnikami uprzywilejowującym w dostępie do debaty publicznej. Można odwołać się w tym miejscu do teorii kapitałów Pierre'a Bourdieu, który wyróżnił trzy podstawowe typy kapitałów: ekonomiczny, kulturowy i społeczny. Szczególnym podtypem tego ostatniego jest kapitał polityczny, który określa się ze względu na korzyści płynące ze związków z instytucjami politycznymi. Każdy z typów kapitału uprzywilejowuje wybrane grupy osób, posiadające jego szczególne zasoby. To powoduje, że ich dostęp do pola debaty społecznej jest lepszy. Kapitał polityczny uprzywilejowuje, ponieważ struktury dialogu społecznego są zawsze w większym lub mniejszym stopniu współtworzone przez instytucje polityczne. Instytucje polityczne i państwowe są też, z racji swoich funkcji, kluczowymi partnerami w dialogu społecznym. Winny czuć się jednocześnie zobowiązane do brania pod uwagę jego przebiegu w swoim działaniu. Kapitał ekonomiczny uprzywilejowuje choćby dlatego, że struktury systemu dialogu społecznego wymagają finansowania. Kapitał kulturowy jest nie mniejszym czynnikiem uprzywilejowującym w dostępie do forów dialogu społecznego. Daje między innymi wiedzę i kompetencje niezbędne do efektywnego udziału w debacie, a często ułatwia uzyskanie nad nią kontroli.

Dialog społeczny toczyć się powinien tak, by pozycja społeczna – innymi słowy – zasoby kapitałowe jego uczestników nie były z jednej strony lekceważone, ale z drugiej też nie przesądzały całkowicie o stopniu ich dostępu do sfery publicznej i wpływu na przebieg w niej dyskusji. Dialog społeczny musi być sferą, gdzie są uzgadnianie interesy posiadaczy wszystkich typów kapitału, niezależnie od jego charakteru i wielkości zasobów. Nie można jednak uniknąć sytuacji, w której osoby o większych zasobach kapitałowych będą w owym dialogu odgrywać większą rolę. Jest to naturalne, ponieważ dysponując większą władzą, są oni aktorami, którzy posiadają większą siłę przetargową oraz możliwości działania i wpływu na życie społeczne. Nieuprzywilejowanie ich na forum dialogu społecznego powo-

dować będzie to, że będą oni albo wpływali nań z naruszeniem ogólnie przyjętych zasad, albo też forum owo będą w miarę swoich możliwości lekceważyli i marginalizowali, próbując o swoje interesy dbać za pomocą innych, najczęściej niejawnych mechanizmów wpływu. Będzie to prowadzić do osłabienia, delegitymizacji całego systemu dialogu społecznego i alienacji wspomnianych tu aktorów. Innymi słowy, zarówno elity polityczne, ekonomiczne jak i kulturowe z konieczności muszą być w systemie dialogu społecznego uprzywilejowane. System ten jest zawsze w dużym stopniu miejscem negocjacji interesów pomiędzy elitami wszystkich rodzajów kapitału i ich podtypów. Im bardziej elity owe będą w ów system włączone, tym bardziej będzie on uprawomocniony społecznie i skuteczny. Udział elit w systemie dialogu pozwala także za pośrednictwem systemu wpływać mniej uprzywilejowanym na owe elity. Z drugiej jednak strony system ów musi zachowywać kompensujące mechanizmy oparte na pryncypiach obywatelskiej równości. Nie może całkowicie uniemożliwiać dostępu do siebie osobom o mniejszych zasobach kapitałowych, gdyż ich wykluczenie też oznaczać będzie jego delegitymizację. Struktury systemu dialogu społecznego i ich strażnicy winni więc przykładać szczególną uwagę do zachowania równowagi pomiędzy uprzywilejowanymi, wpływowymi uczestnikami debaty a zwykłymi obywatelami. Jednocześnie muszą starać się zachowywać równowagę pomiędzy poszczególnymi grupami uprzywilejowanymi (w szczególności elitami intelektualnymi, elitami polityki i kapitału ekonomicznego), by żadna z nich nie zdołała narzucić własnego typu kapitału jako dominującego kryterium dostępu do forum dialogu społecznego.

Zachwianie każdej z tych proporcji spowodować może, że dialog społeczny będzie się przeradzał w monolog. Na najogólniejszym poziomie grozić może monolog uprzywilejowanych skierowany w kierunku przeciętnych obywateli. W konkretnych przypadkach możemy mieć do czynienia z monologiem wybranych elit, na przykład kulturowej, ekonomicznej czy politycznej. Monolog taki jest tylko pozornie korzystny dla mających do niego prawa. Brak dialogu, a więc wymiany informacji, opinii i konfrontacji poglądów i oczekiwań przez uczestników systemu społecznego oznacza bowiem zakłócenia w jego samoregulacji. W efekcie wcześniej czy później prowadzi do jego osłabienia a nawet dezintegracji całego systemu, z czym

wiąże się w konsekwencji utrata fundamentów, na jakich opiera się pozycja społeczna także uprzywilejowanej przez system elity.

Warto tu jeszcze wspomnieć o innych elementach wpływu na struktury debaty, które dają szczególną władzę a jednocześnie nakładają na posiadających ją wielką odpowiedzialność. Wspomniano już o prawie dopuszczania do debaty. Stosując systematykę Bourdieu, kryteriami dopuszczenia, których stosowanie jest często konieczne na przykład ze względu na techniczne ograniczenia liczby uczestników debaty, mogą być: legitymacja polityczna, a więc bycie przedstawicielem grupy (partii) politycznej albo innej organizacji będącej reprezentantem określonej grupy interesów. Byłoby to kryterium kapitału społecznego (a w szczególności politycznego). Kryterium kapitału ekonomicznego dopuszczałoby przedstawicieli przedsiębiorców oraz tych, którzy są w stanie sfinansować koszty własnego udziału w debacie. Wreszcie kryterium kapitału kulturowego uprzywilejowałoby osoby o szczególnych kompetencjach: technokratycznych, moralnych, kulturowych, intelektualnych itp. Jak wspomniano, należy dbać o to, by żadne z tych kryteriów nie działało w sposób mechaniczny i nieodwołalny. Żadne z nich nie może też być kryterium dominującym na poziomie debaty ogólnokrajowej.

Uznając nieodzowność wspomnianych tu uogólnionych kryteriów dopuszczenia do uprzywilejowanych forów dialogu społecznego, warto zwrócić uwagę na wybrane komplikacje związane z ich stosowaniem. I tak przedmiotem kontrowersji stać się mogą definicje aktorów uprawnionych do udziału w danej debacie publicznej. Wspomniano tu na przykład, zaproponowany przez Bourdieu, podział na trzy sfery życia społecznego: polityczną, ekonomiczną i kulturową. Nawet jeśli podziału tego nie zakwestionujemy, choć jest on w dużym stopniu arbitralny, możemy się zawsze zastanawiać, jak definiować grupy społeczne niższego szczebla, których reprezentanci brać powinni udział w dialogu społecznym. Czy na przykład przedsiębiorców dzielić na wielkich, średnich, i drobnych? Jeśli tak, to w jakich proporcjach powinni być do dialogu społecznego zapraszani ich przedstawiciele? Czy raczej w proporcji do liczby osób w danej grupie czy też kapitałów przez nie reprezentowanych? Czy świat polityczny dzielony powinien być według partii politycznych czy też urzędów, typów władzy

(np. wykonawcza, sądownicza, ustawodawcza), a może szczebla organizacji terytorialnej (instytucje centralne, regionalne i lokalne)? Jeszcze trudniejsze jest dzielenie szerokiego świata kultury, w którym wyróżniać można grupy według przeróżnych kryteriów. We wszystkich grupach wyróżniać możemy też jednocześnie na przykład podziały pokoleniowe (ale gdzie stawiać ich granice, gdzie kończy się na przykład młodość?), regionalne (ale jakie, administracyjne czy raczej historyczno-kulturowe?), płciowe (ale co z mniejszościami seksualnymi?), statusowe (pracodawcy, pracownicy najemni, osoby samozatrudniające się, ale przecież oni wszyscy mogą mieć akcje przedsiębiorstw swoich i innych), pochodzeniowe (np. mniejszości narodowe, których definicja nawet w Polsce nie jest jednoznaczna – co np. ze Ślązakami?) i wiele innych. To, które z tych kryteriów podziału w danych okolicznościach stosować, nie jest rzeczą oczywistą. Uznanie danych kategorii osób za istotne jest zawsze mniej lub bardziej subiektywne, a więc określanie uprawnionych do udziału w danej debacie grup jest ważnym elementem władzy nad ową debatą, którą to władzę trzeba stosować z rozwagą.

Poza grupami o wyraźnie określonych regułach wyłaniania swej reprezentacji (np. stowarzyszenia czy partie polityczne) jej kwestia staje się także ważnym elementem organizacji dialogu społecznego. Toczyć się on bowiem musi zwykle za pośrednictwem przedstawicieli. Organizatorzy debat posiadają więc dodatkową władzę polegającą na prawie ich wyłaniania bądź choćby tylko akceptowania. Warto zwrócić uwagę, że legitymizacja biorących w wielu debatach przedstawicieli bywa często wątpliwa. Nie brak przypadków, gdzie do dialogu społecznego włącza się marionetkowych reprezentantów wybranych grup społecznych, którzy są w najlepszym przypadku li tylko ich symbolami niereprezentującymi prawie nikogo, a często niepotrafiącymi wiele powiedzieć o grupie, której przedstawicielami zostali mianowani.

Niezwykłe istotnym elementem struktury systemu dialogu społecznego jest mechanizm przebiegu debat. W szczególności wspomnieć tu można o władzy nad ich organizacją, polegającej na regulowaniu możliwości zabrania głosu i jego długości (którą można mierzyć czasem w debacie słownej czy objętością tekstu w debacie pisemnej). Do zagadnień tych w dużym

stopniu odnieść należy rozważania poświęcone dostępie do samej debaty. Prawo głosu jest także zwykle regulowane przez zasoby kapitałowe, a powinno być jednocześnie udzielane ze względu na przywileje obywatelskie niezależne od statusu społecznego. Równie ważna jest struktura debaty, kolejność wypowiedzi, a wreszcie prawo do wygłaszania podsumowań i zamykania debaty w określonym momencie. Jak wiadomo, te przywileje mają duży wpływ na efekty debat. Struktura systemu dialogu społecznego określa także mechanizmy wyboru problemów podlegających dyskusji oraz uwagę, jaką się im poświęca. Elity odpowiedzialne za organizację dialogu społecznego mają wielką władzę, mogąc pewne problemy uznać za istotne i pierwszoplanowe, inne zaś zlekceważyć jako nieistotne, nieciekawe bądź też w ogóle wydumane. W samej debacie niezbędne jest zachowanie określonych norm i dyscypliny wypowiedzi (czy to ustnej, czy słownej). Określać należy, co stanowi odstępstwo od tematu debaty, gdzie następuje dygresja, którą należy ograniczyć czy też wyeliminować. Prawo do eliminacji dygresji przez sterujących strukturą systemu może być w praktyce nadużywane do ograniczenia prawa wypowiedzi.

W jeszcze większym stopniu kontrowersyjne może być zagadnienie kontroli stylu akceptowanych wypowiedzi. Każda debata, dialog społeczny jako taki toczyć się muszą w ramach licznych norm. Wymienić tu można między innymi normy kultury języka, normy uprzejmości i kurtuazji, normy stylistyki wypowiedzi. W szczególności w wypadku tych ostatnich następować mogą dylematy przy określaniu granic akceptowalności. Mamy tu do czynienia ze wspomnianym już zagadnieniem różnicy w zasobach kapitału kulturowego. Powodują one, że wiele osób nie jest w stanie budować wypowiedzi w wyrafinowanej stylistyce wymaganej na określonych forach dialogu społecznego. To ograniczenie może ich wykluczać z ważnych skądinąd dla nich debat. Jednocześnie szeroki problem stylistyki nie ogranicza się wyłącznie do posiadania bądź nie kompetencji do konstruowania wyrafinowanych językowo wypowiedzi. Jest on także związany z wielością stylów, która niekiedy utrudnia debatę. Wspomnieć można o żargonach środowiskowych (np. problemy w porozumieniu inżynierów z humanistami czy przedsiębiorców z intelektualistami). Ważną przeszkodą w prowadzeniu dialogu mogą być też odmienności w akceptowanej retoryce. Może

ona zakładać nie tylko zupełnie odmienną stylistykę językową, ale i inne formy argumentacji i przekonywania. Z jednej strony za uprawomocnione mogą być na przykład uważane wypowiedzi oparte na dowodach ilościowych obliczeń i tabelach z danymi. Z drugiej jako najwartościowsze mogą być traktowane ekspresywne czy erudycyjne wypowiedzi o charakterze literackim czy eseistycznym, odwołujące się do argumentów filozoficznych czy moralnych. Aby zapewnić funkcjonalność dialogu społecznego, kontrolujące go elity muszą z konieczności narzucać na poszczególnych jego forach pewne reguły i standardy umożliwiające przewyciężenie opisywanych tu barier komunikacyjnych. Każda regulacja ma jednocześnie jednak aspekt bariery, której istnienia należy być świadomym. System dialogu społecznego musi być tymczasem skonstruowany tak, aby nie odrzucał całkowicie nikogo zainteresowanego rozmową i zawsze umożliwiał zabranie głosu na forum choćby niższego szczebla. Od pierwszych lat edukacji należy uświadamiać wszystkim młodym obywatelom prawo do uczestnictwa w dialogu społecznym i jednocześnie realizować je w szkole. Niekiedy sam bowiem udział w debacie, możliwość bycia wysłuchanym odgrywa kluczową rolę. Dla jednostki jest fundamentem uznania jej osobowej godności i praw obywatelskich, a dla społeczeństwa – fundamentem legitymizacji jego instytucji.

*Przemysław Czapliński**

Literatura, dialog, komunikacja

Dialog, nie tylko w powszechnym mniemaniu, lecz także w ujęciu organizatorów konferencji, jest czymś z gruntu pozytywnym. Nie urząda się przecież spotkania pod hasłem „Jak rozwinąć dialog społeczny w Polsce”, nie mając przekonania, że dzięki dialogowi można coś osiągnąć. I rzeczywiście: krótkie objaśnienie zatytułowane „Dlaczego powstało Polskie Forum Wartości i Rozwój?” odsłania przed nami dalekosiężne cele, do których można dotrzeć poprzez dialog. Czytamy więc o „poprawie etycznych standardów zachowań”, „dobrym funkcjonowaniu rynku, państwa i społeczeństwa”, o „uszlachetnieniu – zbudowanych w wyniku zrywu Solidarności – zrębów rynku i demokracji”, o „reintegracji społecznej i nadaniu trosce o dobro wspólne realnego znaczenia”, o „budowie Europy wartości”. Podsumowanie komunikatu nadaje temu połączeniu charakter programu: „Przez wymianę myśli i emocji chcemy służyć pobudzeniu inteligencji duchowej polskiego społeczeństwa, by przywrócić zdolność do spójnego i kreatywnego działania w skali całego kraju, regionów, instytucji publicznych itp.”

Brzmi to podniośle, szlachetnie, omal bezdyskusyjnie. Co jednak zrobić z tymi, którzy nie pasują do tego modelu: starać się wciągnąć ich do rozmowy, lecz po nieudanych próbach uznać, że nasze ręce są czyste? Dać sobie spokój od razu?

Postawić ich poza nawiasem naszych dialogowych starań, to przyznać, że interesuje nas tak naprawdę nie dialog, lecz „rozmowa ludzi podobnie myślących”, a więc dialog pozorowany. Zmusić ich do rozmowy to zasymi-

* Instytut Filologii Polskiej UAM.

lować, a więc w gruncie rzeczy przedłużyć własną dominację. Można też jednak spróbować poznać ich sposób komunikacji – ryzykując, że nie będzie pasował do naszych trybów porozumienia i że rozwali nasz dialog. Skoro bowiem możemy zdobyć tak wiele, musimy równie wiele zaryzykować, aby dowiedzieć się, ile racji i postaw odmiennych zdolni jesteśmy przyciągnąć.

Nostalgia i retoryka

Najprościej byłoby zaprosić do dialogowego stołu tych, którzy myślą nieco inaczej, ale myślą. Bo skoro myślą, to i pewnie do rozmowy będą skłonni – do długich debat, starannego rozważania racji, spokojnego wysłuchania drugiej strony. Byłoby więc niezgorzej zasiąść razem ze Stefanem Chwinem, Pawłem Huelle, Markiem Bieńczykiem, Włodzimierzem Kowalewskim i wieloma do nich podobnymi. Pisarzy tych – wybranych nieco na chybił trafił, bardzo różnych, uprawiających diametralnie odmienne gatunki i różnymi stylami się posługujących – łączy, jak się zdaje, nieufność w stosunku do dialogowych metod, które prowadzić miałyby do kapitalistyczno-liberalno-demokratycznej prosperity. „Nowy, wspaniały świat”, który może wyłonić się dzięki negocjacom, rozmowom i obradom przy okrągłych stołach, zostaje w ich dziełach zakwestionowany, lekko ośmieszony, postawiony w cieniu podejrzenia. Bohaterowie przez nich wykreowani stwarzają problem: mają nader wyraziste wspomnienia z innych światów – przekazanych w spadku przez literaturę lub rodziców, wyobrażonych, wymyślonych – nie mają natomiast pomysłu na teraźniejszość. Są więc nader ciekawymi słuchaczami, ale niedogodnymi rozmówcami: wiedzą, czego nie chcą, i wiedzą, że to, czego chcą, jest ideałem minionym. Jako nostalgicy odmawiają uczestnictwa w teraźniejszości, wycofując się w swoje światy dawne, które pomagają im krytykować polskie „dziś”, pogłębiając izolację. Są łagodni, ale nieprzejednani – w tym sensie, że mu chy by nie skrzywdzili, ale przekonać pewnie się nie dadzą. Dialog jest dla nich okazją do rozmowy, nie zaś – do zmiany własnego stanowiska. Co z nimi począć?

Oczywiście można zostawić ich własnemu losowi. Przeciwno takiemu postępowaniu przemawia jednak prosta intuicja, że tej grupie bohaterów literackich odpowiada jakaś – wcale poważna – część społeczeństwa polskiego. Część z lekka wycofana, zdystansowana do życia publicznego, uczestnicząca w nim niechętnie i rzadko. Ludzie ci uważają, że język, jakim toczy się dialogi publiczne, a także miejsca, w których te dialogi się rozgrywają, są im obce. Takiego właśnie stanu doświadczyć można, czytając książki wymienionych pisarzy. *Hanemann* i *Złoty pelikan* Stefana Chwina, *Bóg zapłać!* Włodzimierza Kowalewskiego, *Pierwsza miłość i inne opowiadania* oraz *Mercedes-Benz* Pawła Huellego wprowadzają nas w świat spowolniony, pełen lęku przed zbyt szybko osiąganym porozumieniem. Kto postanowia zachęcać do dialogu społecznego, musi więc wziąć pod uwagę również i takich ludzi – skorych do rozmowy, nieskorych do decyzji, lubiących kontakt z drugim człowiekiem, lecz niechętnych konkluzjom.

Z tych dzieł wyłania się zatem obraz pouczający: oto naprzeciw nas zasiadają ludzie zupełnie innych poglądów, odporni na naszą sztukę perswazyjną, impregnowani na nasze argumenty, wyposażeni we własne racje. Co z nimi zrobimy? Co zrobimy z kulturalną częścią naszych rozmówców, którzy dialog traktują jako rytualną formę towarzyskiego kontaktu, nie zaś jako formę rynkowej rywalizacji?

Monolog

Tuż obok „nostalgików” plasują się bohaterowie monologowi – nieco neurotyczni, wycofani, niekiedy introwertyczni, rzadko otwierający się w rozmowie. Trudno z nimi obcować, jeszcze trudniej utrzymać jeden temat, a zupełną niemożliwością okazuje się dojście do wniosków i ustaleń.

Spotkamy ich w rozmaitych książkach – zwłaszcza jednak w prozie o inklinacjach psychologicznych, nastawionej na analizę ludzkiego wnętrza albo ukazującej owo wnętrze poprzez rozmaite monologi wypowiedane. Autorzy tych dzieł nie dążą do prostoty – może nawet wręcz przeciwnie – ale mają przecież sporo racji. Im bardziej jesteśmy przekonani, że każdy z nas w środku wcale nie jest istotą prostą i nieskomplikowaną, tym waż-

niejsze wydają się starania pisarzy, którzy – ze słabnącym uporem – obstają przy komplikowaniu wewnętrznego wizerunku człowieka i gmatwaniu jego ekspresji.

Książki Zbigniewa Kruszyńskiego (*Schwedenkrauter*, *Szkice historyczne*, *Na łądach i morzach*), *Baronowa późna jesień* oraz *Królowa rabarbaru* Miłki Malzahn, *Fractale* Nataszy Goerke, pierwsze teksty Sławomira Shutego, debiutanckie *Opowieści slychane* Wojciecha Kuczoka, zbiór opowiadań *Żydówek nie obsługujemy* Mariusza Sienkiewicza pokazują takie właśnie kłopoty w porozumieniu. Kłopoty, które zaczynają się przy formułowaniu myśli, przy składaniu indywidualnego obrazu świata, a pogłębiają się wtedy, gdy przychodzi do mówienia i gdy myśl potyka się o słowo, a zdanie nie składa się w całość. Czytanie tych książek przypomina niekiedy brnięcie przez zarośla: nogi grzęzną w gęstwinie, gałęzie oplatają ciało, kolce haczą nogawki – na nic zda się szarpanie, wydłużanie kroku, unoszenie nóg. Trzeba zwolnić.

I o to, jak sądzę, właśnie chodzi wymienionym pisarzom – abyśmy zwolnili czytanie. Abyśmy zaczęli słuchać cudzej wypowiedzi tak, jak słów osoby, którą lubimy: pilnie, uważnie, spokojnie. Być może w takiej wypowiedzi nie pojawi się nic ważnego; być może nie padnie ani jedno mądre zdanie, ani jedna złota myśl (której nie poskąpi nam Chwin czy Huelle); być może wypowiedź będzie bełkotliwa (*Bełkot* – to tytuł zbioru opowiadań Shutego), nieskładna, bezkształtna, miąsgowata (*Pożegnania plazmy* to z kolei tytuł trzeciego zbioru opowiadań Nataszy Goerke). Ale być może właśnie w swej niezborności jest to literatura bliska naszym dialogom i naszemu codziennemu gadaniu. W końcu każdy z nas dysponuje tylko takim słownikiem, jaki sam sobie zbuduje – doszlifuje, pogłębi, poszerzy – i każdy z nas potrafi wyrażać się tylko z taką biegłością, jaką sam sobie wypracuje.

Na tym także, wydaje mi się, polega concept prozy monologowej. Po latach naszego – społecznego, duchowego, światopoglądowego – dążenia do pluralizmu, po okresie, gdy kategorię „wielości” przeciwstawialiśmy komunistycznemu państwu, które dążyło do ujednoczenia społeczeństwa, nastąpił moment przesilenia: dziś hasła „pluralizm”, „wielość”, „zróżnicowanie”, nie wystarczają. W III RP okazało się bowiem, że pluralistyczne

społeczeństwo doświadcza permanentnego kryzysu dialogu. Dwie są przypuszczalnie przyczyny takiego stanu: po pierwsze „polski dialog” reprezentuje raczej główne głosy – i to nieliczne – nie zaś wszystkie czy choćby większość. W związku z tym, po drugie, w latach dziewięćdziesiątych sfera publiczna stała się areną powolnego wyciekania różnic i osłabiania języków indywidualnych. Skoro bowiem z roku na rok coraz mocniej przekonywaliśmy się, że odrębność nie popłaca – nie jest ani ceniona, ani nawet rozumiana – tedy coraz wyraźniej zaczęliśmy „zlewać się do środka”. W tym środku już tylko rzekomo każdy może się wypowiedzieć, w istocie natomiast nieliczni mogą mówić, a jeszcze mniej liczni zostaną wysłuchani. Co za tym idzie, kto chce brać udział w owym wąskim dialogu, z konieczności dostraja swój język do języków dominujących – słuchanych, rozumianych i skutecznych. Mówiąc inaczej: wyzbywamy się języków indywidualnych, rezygnując z tego, co idiomatyczne, na rzecz tego, co komunalne. Wyplukiwanie treści i skłonności do wyrażania tego, co indywidualne (nie należy tego mylić z krzykliwością i napastliwością) jest samoczynnym mechanizmem spływającym dialog publiczny: im mniej własnej osobności wnosimy bowiem do owego dialogu, im więcej miejsca w naszych słownikach zajmują konwencje, tym uboższa okazuje się debata. Zamiast zróżnicowania i jej reprezentacji widzimy upodobnienie. A to prowadzi do radykalizacji języków i uproszczenia politycznych leksykonów: po jednej stronie lewica, po drugiej – prawica; po jednej – Polska solidarna, po drugiej – Polska liberalna. Dychotomie, które fałszują rzeczywistość, które opierają się na manipulacjach znaczeniowych, poczynają rządzić naszymi zachowaniami publicznymi. Wymuszają na nas wybór pomiędzy skrajnościami, które w istocie powinniśmy rozpatrywać łącznie i które powinniśmy sami definiować zgodnie z naszą wolą. W rezultacie dialog, co wydać się może paradoksalne, staje się rzeczywiście „rozmową dwóch stron” – sztucznie wykreowanych na potrzeby jednej kampanii, ufundowanych na kategoriach, które zostały zawłaszczone przez polityków i kompletnie zmarnotrawione.

Nietrudno więc zrozumieć uparte obstawanie literatury przy językach indywidualnych – przy tym, co idiomatyczne, prywatne, jednostkowe, niedopowiedziane, niepełne. Taka literatura eksploatuje do granic możliwości ów język prywatny, pokazując, że tkwi w nim wielość – trochę

porządku i sporo bałaganu, rozproszenie znaczeń obok sensów skupionych i pogrubionych, wzniosłość obok wulgarności.

Weźmy pod uwagę, na przykład, książki Zbigniewa Kruszyńskiego. Pisarza tego można nazwać dywersantem językowym. W komunikacji społecznej sądzimy, że język, mimo stylistycznych odmian, jest jeden – określony, jednolity, spójny. Służy on ekspresji i komunikacji, czyli wyrażeniu tego, co dla każdego z nas najważniejsze, i porozumieniu. Kruszyński w swoich książkach – *Schwedenkrauter*, *Szkice historyczne* i *Na ładach i morzach* – uświadamia, że „społeczne języki” to niepoliczalna wielość kodów, które organizują się wokół faktów, postaw, zdarzeń, marzeń, rzeczy... Wystarczy, by jakiś element życia społecznego zyskał minimalną trwałość, a już obrasta słowami i strukturami: zawody, zajęcia, hobby, zjawiska. Wbrew więc dość powszechnemu przekonaniu, że ogół interpretacji rzeczywistości daje się wyprowadzić z kilku języków politycznych (prawica, lewica, centrum), ekonomicznych (wolna konkurencja, interwencjonizm, korporacjonizm) czy aksjologicznych (permisywizm, rygorizm, anarchizm konserwatywny), Kruszyński uświadamia nie tylko, że takich języków jest nieskończenie wiele, że tworzą się niemal codziennie i codziennie umierają; dużo ważniejsze jest co innego – inwencja językowa pisarza uświadamia, że gdy zgadzamy się na ograniczoną liczbę języków, pozwalamy, by te języki w istocie dyktowały nam myśli. I tu drugi, bardzo ważny element prozy Kruszyńskiego: pisarz ten pokazuje, że język współtworzy świat. Nie chodzi o to, że język jest narzędziem komunikacji, takie przeświadczenie oznaczałoby bowiem, że widzimy w języku coś, nad czym panujemy; chodzi raczej o to, że język pomaga nam stworzyć własny świat – zagospodarowany słowami, objaśniony, dający oparcie, pozwalający wyjaśnić poszczególne fragmenty i powiązać je jakąś nicią. Język pomaga rozumieć świat, ale nie buduje porozumienia – pod tym względem Kruszyński jest komunikacyjnym solipsystą: jego proza przekonuje, że każdy z nas żyje odizolowany od innych i że porozumienie w zasadzie nigdy nie następuje. I wreszcie trzeci składnik prozy Kruszyńskiego – być może najważniejszy: kiedy czytamy jego narracje, zaczynamy rozumieć, że nie istnieją ubogie języki, wąskie słowniki, zamknięte horyzonty lingwistycznego świata. Podobnie jak liczba języków jest nieograniczona, tak też i granice każdego z nich

są ruchome. Nie ma słowników finalnych. Nie ma więc ani określonej ich liczby, ani zamkniętej liczby słów/znaków tworzących dany język. Wszystko zależy od tego, co każdy z nas ze swoim językiem zrobi. Dywersja uprawiana przez pisarza polega więc na tym, że zabiera on słowa z naszej codzienności, słowa, które uważamy za zwykłe albo nawet zużyte, po czym włącza je w swoje językowe fabuły, pełne peryfraz, synonimii i homonimii, gier brzmieniowych i znaczeniowych. Postępuje więc jak ktoś, kto łączy w sobie pasję kolekcjonera i śmieciarza, wytrawnego zbieracza i przygodnego znalazcy, konesera i złomiarza. Wciąga do swoich fabuł językowych wszystko, co mu się nawinie pod rękę (choć jednocześnie szuka z ogromnym zjawstwem) i tworzy opowieść. Można sobie wyobrazić, jak łązi po ulicach (słucha radia, rozmawia, czyta gazetę) i zbiera językowe przedmioty (*les mots trouvés*); czasem są to „towary modne”, kiedy indziej odpadki: czat, ankietę, paszport, VAT, łącze, ikona. Jest więc swego rodzaju słownikowym szperaczem, a szperactwo, które uprawia (to pojęcie Jolanty Brach-Czajny) pokazuje, że można opisać świat w każdym języku. Pisarz w ten sposób rozkłada style publiczne i pokazuje, że uprawiana przez niego dywersja ma charakter językowej samoobrony.

Tę postawę pisarską można także nazwać marginesowaniem komunikacji społecznej – czyli dopisywaniem na marginesach głównych słowników tego, co pomniejsze, mniej ważne, nieznanne, słabiej uświadamiane. Wydaje mi się to nader ważne, ponieważ w świecie Kruszyńskiego – świecie dobrze nam znanym – język uznajemy za przedmiot „powszechnego dostępu”: proste słownictwo uliczne, precyzja nauki, bezpośredniość gazet, lakoniczność reklam – to wszystko sprawia, że język przymila się do nas, kusi nas, mami, oczarowuje, oddaje do łatwego użytku, obiecuje niedzienne atrakcje. W istocie jednak – pokazuje Kruszyński – język, któremu uwierzmy, to język, który niezauważalnie pocnie nami kierować. Oczywiście nadal będziemy uważali się za posiadaczy tego języka, nadal będziemy sądzili, że mamy w rękach (ustach) sprawne narzędzie, ale w rzeczywistości będziemy zamknięci. Z własnej woli, głupoty, własnego lenistwa – tak czy owak na własne życzenie znajdziemy się w środku pewnego słownika. Dlatego narratorzy Kruszyńskiego nigdy nie ufają językowi: poddają go rozlicznym próbom, sprawdzając, jaką część świata przy użyciu nowych

słów można opisać, z iloma słowami można je połączyć, jaką część własnych doznań można poprzez nie wyrazić. Dywersja pisarska polega w tym przypadku na odmowie uznania języka za twór gotowy.

Równocześnie jednak nie ma w narracjach Kruszyńskiego ani narzekania na dzisiejszą językową wieżę Babel, ani też nostalgicznego wspomnienia języka wspólnego. Nic z tego. W powieści *Szkice historyczne* pisarz pokazywał, że jednoczenie społeczeństwa poprzez język zawsze ma charakter totalizujący: wspólny słownik to słownik zwycięzcy, a zwycięzca ustala obowiązującą wersję rzeczywistości. Kruszyński odsłania więc z jednej strony rozbity świat porozumienia językowego, z drugiej – niepożądaną jedność. Żadnej utopii, żadnej nostalgii. Za to tym bardziej należy go cenić.

Jest jednak jasne, że pisarz, który w ten sposób postępuje z narracją – a więc odmawia „normalnej” fabuły, akcji „po bożemu” – zmniejsza swoje szanse w komunikacji społecznej. W tym miejscu spotyka się literatura i dyskurs publiczny: oto my sami przejawiamy coraz większą niechęć wobec literatury, którą „ciężko się czyta” i coraz powszechniej faworyzujemy literaturę „czytelną” (a więc łączącą w sobie czytelność z poczytnością – to w końcu taka właśnie proza dziś zwycięża: łatwa w czytaniu i poprzedzana rozgłosem). Ta niechęć jest rewersem naszych postaw komunikacyjnych, w których coraz pełniej godzimy się na ujednoczone języki publiczne i polityczne. Powiedzmy więc na odwrót: im więcej byłoby w naszych postawach lekturowych przyzwolenia dla książek monologicznych, tym mniej byłoby w nas posłuchu dla polityków polujących w amoku na słowa „wspólne”, żerujących na treściach komunalnych, w populistycznym lęku redukujących swój – i nasz – słownik publiczny do kilku wyrazów, których nikt nie śmie zakwestionować. Papież, honor, ojczyzna – tyle nam, na razie, zostało z demokracji. Choć równocześnie wiemy, że im uboższy język publiczny, tym mniejsze nasze szanse na wprowadzanie jakichkolwiek zmian w demokrację. A zmiany są konieczne. Kto czyta trudną literaturę, jest mniej podatny na polityczne manipulacje; kto nawet trudną literaturę czyta wedle wzorców trywialnych, kieruje w stronę polityków komunikat „mów do mnie prosto”. Tak rodzi się dialog.

Terroryści

Ostatnią grupą – w zaimprovizowanej przeze mnie opowieści o polskiej literaturze i jej stosunku do dialogu – niech będą książki, w których pojawia się wątek terroru. Jest ich wcale niemało: *Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną* Doroty Masłowskiej, *Nic* Dawida Bieńkowskiego, *Zwał* Sławomira Shutego, *Xavras Wyrzyn* Jacka Dukaja, *Paris-Londyn-Dachau* Teresy Drotkiewicz. Dodać do tego należałoby kilka dramatów tzw. brutalistów – na przykład jednoaktówki Marka Bizio *Toksyny*, nie wspominając o licznych tekstach importowanych na fali zainteresowania tą poetyką.

W utworach tych istnieje kilka odmian terroru. Najczęściej jest tak, że przemoc bądź niemoc instytucjonalna zmusza jednostkę do „wzięcia sprawy w swoje ręce”. Wówczas człowiek zabija nie tyle drugiego człowieka, ile część jakiejś instytucji – symbol przewagi państwa bądź jego niedowład, reprezentację rynku bądź fantom jego niesprawiedliwości. Akt terroru jest wymierzony w rynek albo w demokrację, albo w liberalizm – najrzadziej, prawie nigdy, w konkretnego człowieka. Widzimy więc, jak bohater powieści Shutego *Zwał* terroryzuje swoją szefową w banku, w powieści Bieńkowskiego *Nic* agent restauracji należącej do sieci Positive zabija menedżera, w ostatniej scenie powieści Teresy Drotkiewicz następuje wybuch bomby w domu towarowym, w którym bohaterka ze swoją koleżanką robi zakupy. Powtórzmy jeszcze raz: celem tych ataków nie jest nigdy konkretna osoba, lecz siły, które za nią stoją i które nadają owej osobie całość znaczenia. Poza instytucją niknie znaczenie, choć nienawiść może pozostać.

Jest jednak oczywiste, że żaden z tych aktów niczego nie wskóra: zamordowaną szefową zastąpi kto inny, menedżerowie menedżera zatrudnią nowego pracownika, na miejscu zburzonego domu towarowego powstanie inny. Praca, hierarchia pracownicza, przewaga pracodawcy nad pracownikiem, zysk, towar, handel – żaden z tych składników kapitalizmu nie zniknie ani, co gorsza, nie ulegnie zmianie. Paradoksalnie więc, akt terrorystyczny, wymierzony bezpośrednio w jakiś element całości, miał unicestwić

choćby cząstkę znienawidzonego rynku pracy, odsłoni jego Proteuszową żywotność. Ale w tym właśnie tkwi istota współczesnego terroru: nie jest on czynem pragmatycznym, to znaczy nie może przynieść żadnych konkretnych rezultatów. Nie jest również działaniem sensownym. Jak pisze Baudrillard: „(...) terroryzm w istocie nie ma sensu, nie ma celu i nie można go mierzyć za pomocą jego rzeczywistych konsekwencji, politycznych i historycznych”¹. Terroryzm antykapitalistyczny to działanie odwetowe – wynika z frustracji, więc w ostateczności, skoro nie rozwiąże żadnego problemu, musi ową frustrację pogłębić.

I właśnie w takiej postaci – bezsensownego odwetu, wymierzonego w uosobienie kapitalizmu, nie zaś w jego reguły – włączyć musimy akt terroru w opowieść o polskiej literaturze i jej stosunku do dialogu. Najpierw trzeba odnotować szczególne zawieszenie oceny ze strony autorów: osąd terrorystycznego aktu albo nie pojawia się w ogóle, albo występuje w postaci wieloznacznej. Jest to o tyle istotne, że w polskiej literaturze od dwustu lat terror i terrorysta podlegali zawsze ocenie wyraźnie negatywnej. W żadnym momencie istnienia zaborów żaden pisarz nie pochwalił krwawego wymierzania kary za cierpienia społeczeństwa. Od Mickiewicza, poprzez Brzozowskiego, Struga, a potem Jana Józefa Szczepańskiego (*Ikar*, *Wyspa*) i Stanisława Lema (*Katar*) terroryzmowi nie towarzyszył nawet cień wątpliwości. Wątek zaczął się komplikować w literaturze lat osiemdziesiątych – w *Wolnej Trybunie* Christiana Skrzyposzka, w parabolicznych powieściach Maxa Larsa (czyli Stefana Chwina) *Człowiek-litera* i *Ludzie-skorpiony*, a także w niepublikowanej powieści Pawła Huellego. W narracjach tych terror wyzwolicielski stawał się problemem, a więc zjawiskiem o niejasnym wartościowaniu.

Jeśli zatem w książkach z lat dziewięćdziesiątych pojawia się odwet, któremu autorzy nie dopisują wyraźnego wartościowania, jasnego potępienia moralnego, to dlatego, że przedstawiają akt bezinteresowny – głupi, okrutny, ale wynikający z rozpacz, a nie z wyrachowania. Tym samym dodają do listy problemów, wobec których staje każdy zwolennik dialogu, kolejną kwestię: ludzi, którzy nie wierzą w żaden dialog. Jest to, rzecz jasna,

¹ Baudrillard, *Duch terroryzmu. Requiem dla Twin Towers*, przekł. Renata Lis, Wyd. Sic!, Warszawa 2005, s. 63.

w jakiejś mierze ich problem: to oni dysponują tak wąskim kapitałem komunikacyjnym, że w odpowiedzi na naruszenie ich godności reagują przemocą. Nie potrafią bronić swojego zdania – a więc tracą we własnych oczach – i dlatego, aby odzyskać „twarz”, uciekają się do terroru. Ale w ich działaniu dostrzec można również klęskę drugiej strony, która stosuje dialog nasycony przemocą symboliczną.

Jeśli nie dialog, to co?

Gdyby więc ekonomiści i socjologowie rozważający konieczność naprawy dialogu chcieli czytać naszą literaturę, dowiedzieliby się kilku rzeczy. Po pierwsze, że do stołu, przy którym toczyć się mają rozmowy z osobami równie jak oni inteligentnymi i głęboko przekonanymi, że trzeba dogadać kilka spraw, trzeba zaprosić dodatkowe osoby: nostalgików, czyli ludzi nieprzemakalnych na wszelkie racje współczesnego świata; monologistów, czyli ludzi neurotycznie zanurzonych we własnych językach; i terrorystów, czyli ludzi, którzy zwątpili w sens prowadzenia dialogu. Dowiedzieliby się od nich niewiele. Bo też przy okazji takiego spotkania najważniejszy byłoby zrozumienie miejsca, jakie dialog powinien zajmować w życiu społecznym. A jest to miejsce wtóre – może niekoniecznie zupełnie pozbawione ważności, za to na pewno nie naczelne.

I to właśnie pokazuje literatura. Nie stoi ona bowiem po stronie dialogu, lecz po stronie komunikacji. Różnica jest ogromna. Dialog może być jednym ze skutków – pewnie pozytywnych – komunikacji, nie może jednak być jej celem. W społeczeństwie, które dobrze się ze sobą komunikuje, zdarzyć się mogą kłótnie, przewlekłe monologi, a także akty całkowitego zerwania. Człowiek nastawiony na dialog, i tylko na dialog, w takich sytuacjach prawdopodobnie będzie zmuszony zrezygnować z dalszych prób. Człowiek nastawiony na komunikację wlicza w nią właśnie sytuacje nieprzewidywalne, trudne, niedialogowe. Komunikacja, w odróżnieniu od dialogu, nie ma bowiem założonego celu – jest raczej bliższa współobecności niż dążeniu do realizacji konkretnych zamierzeń. Jeśli przebywamy wśród

innych ludzi to po to, by z nimi być, nie zaś po to, by osiągnąć konsensus w sprawie zakładanej wysokości produktu krajowego brutto.

Jeśli zgodzimy się, że środowiskiem, w którym żyje literatura, jest komunikacja społeczna, a nie dialog, i że celem literatury nie jest pokazywanie dialogujących ze sobą stron, lecz przedstawianie wszystkiego, co w komunikacji społecznej się przydarza (a więc również wszystkiego, co dialogowi sprzyja i wszystkiego, co dialogowi zagraża), tedy zrozumiemy, że literatura najlepiej przysłuży się dialogowi przeszkadzając mu. Dopóki bowiem napotykamy w literaturze ludzi ze sobą rozmawiających, skłonnych do wymiany zdań i do negocjacyjnych ustępstw, dopóty wytwarzamy sobie obraz rzeczywistości międzyludzkiej mniej więcej taki, jaki funkcjonuje w głowach większości naszych posłów: prostacki, zredukowany do wyobrażenia, że ludzie składają się z żołądka i jednego poglądu politycznego. Wtedy zaś, gdy ujrzymy w literaturze postawy komunikacyjne odmienne, nawet skrajnie odmienne od naszych – a więc już nie tyle inne racje, co inne sposoby uczestnictwa w porozumieniu, a także postawy rezygnacji z dialogu – dopiero wtedy zaczniemy uświadamiać sobie rzeczywistą wielość, z jakiej składa się społeczeństwo. Aby tego doświadczyć, musimy czytać książki, które sprawiają nam trudność. Od tego kłopotu, sprawianego przez literaturę, zaczyna się tak naprawdę komunikacja.

Leszek Porębski*

Rewolucja informacyjna a jakość polskiej debaty

Co to jest rewolucja informacyjna?

We wrześniu 2005 roku liczba użytkowników Internetu na świecie osiągnęła liczbę 938 mln, co stanowi prawie 15 proc. światowej populacji¹. Nowe technologie informacyjne i komunikacyjne, których Internet jest niewątpliwie symbolem, stały się więc trwałym i coraz mocniej zauważalnym elementem „społecznego krajobrazu” początku XXI wieku. Już jednak ostatnia dekada ubiegłego stulecia była powszechnie nazywana okresem rewolucji informacyjnej. Ten nieco pompatyczny termin oznacza w istocie gwałtowny rozwój nowych technologii informacyjnych i komunikacyjnych (*Information and Communication Technologies* – ICT), powodujący radykalne przemiany procesu przekazywania informacji i komunikacji społecznej. Ostateczną konsekwencją tych przemian jest pojawienie się nowych typów zachowań w życiu codziennym oraz stopniowe zmiany wzorców życia społecznego.

Rewolucyjność zmian kreowanych przez rozwój ICT można sprowadzić do trzech podstawowych wymiarów. Ilościowy aspekt rewolucji informacyjnej to po prostu radykalny wzrost szybkości przekazywania informacji. Dzięki powszechnej dzisiaj poczcie elektronicznej, w kilka sekund można przekazać dowolną wiadomość tekstową na drugi koniec świata. Kilkaset lat temu byłoby to zadanie zupełnie niewykonalne, a tradycyjna (tzn. wykorzystująca kopertę, znaczek i listonosza) poczta potrzebuje na realizację podobnego zadania, co najmniej kilku dni.

* Wydział Nauk Społecznych Stosowanych AGH.

¹ Zob. www.internetworldstats.com/stats.htm

Jakościowe zmiany w procesach komunikowania oznaczają pojawienie się zupełnie nowych sposobów przekazywania informacji. Możliwości wspomnianej powyżej poczty elektronicznej (a także wielu innych programów wykorzystywanych w Internecie) nie ograniczają się do przekazywania tekstu. Z równie dużą szybkością krążą dzisiaj po całym świecie muzyka, zdjęcia czy nagrania filmowe. Co więcej, w coraz szerszym zakresie przekazywanie wszelkiego typu informacji odbywa się na drodze bezprzewodowej.

Samo jednak zwiększenie szybkości przekazywania informacji i pojawienie się nowych możliwości w tym zakresie nie zmieniliby gwałtownie współczesnego świata, gdyby nie trzeci aspekt dokonujących się zmian – ich „rozlany”, wielowymiarowy charakter. Konsekwencje rozwoju ICT są obecnie widoczne we wszystkich w zasadzie sferach życia społecznego oraz w funkcjonowaniu wszystkich kluczowych instytucji. Jeśli używanie pojęcia rewolucja informacyjna nie wydaje się obecnie jedynie chwytem retorycznym, to przede wszystkim dlatego, że wpływ nowych technologii informacyjnych i komunikacyjnych jest widoczny zarówno w gospodarce, jak administracji, edukacji czy medycynie. Jeśli dodać do tego nowe sposoby spędzania czasu wolnego czy nowe formy aktywności społecznej, to trudno w pełni odrzucić opinię, że ICT odgrywają w chwili obecnej rolę zbliżoną do maszyny parowej mniej więcej dwieście lat temu.

Nowe technologie, a kryzys współczesnej demokracji

Potencjalne konsekwencje rozpowszechnienia nowych technologii informacyjnych i komunikacyjnych dla kształtu życia społecznego zostały stosunkowo szybko zauważone przez obserwatorów i analityków sfery polityki. Wzmoczone zainteresowanie ICT przypadło na okres zauważalnego kryzysu demokracji. Pierwszym i głównym wymiarem tego kryzysu jest postępujące „oddalanie się” obywateli od życia politycznego. Dotyczy to przede wszystkim spadku partycypacji politycznej, widocznego nie tylko w odniesieniu do udziału w wyborach², ale także zmniejszającym się członko-

² Frekwencja w wyborach parlamentarnych w 21 najbardziej rozwiniętych demokratycznych krajach świata wynosiła w latach pięćdziesiątych XX wieku średnio 82%, a w latach dziewięćdziesiątych XX wieku już tylko 76%. Spadek ten wydaje się niewielki (zwłaszcza w kontekście doświadczeń pol-

stwie w partiach politycznych czy malejącej gotowości do angażowania się w prace na rzecz organizacji politycznych. Zjawiskom tym towarzyszy dodatkowo rosnące poczucie wyobcowania ze sfery polityki, odbieranej jako rodzaj zdominowanej przez zawodowych polityków, urzędników i technokratów gry społecznej, rządzącej się własnymi regułami, niezrozumiałej dla przeciętnego obywatela i nieprzekładalnej na jego potrzeby i oczekiwania.

Drugi element kryzysu demokracji to postępujący zanik sfery publicznej i debaty publicznej. Ta ostatnia została zupełnie zdominowana przez media i poddana logice komercyjnego rynku. W tej sytuacji nie ma miejsca na obywatelski dyskurs i refleksję o ideach, wartościach czy realnych społecznych problemach. Polityk jako produkt, którego wizerunek trzeba skutecznie „sprzedać” musi maksymalnie długo skupiać na sobie uwagę maksymalnie szerokiego audytorium. To zaś powoduje konieczność operowania skrótami, hasłami i błyskotliwą – maksymalnie uproszczoną – formą. Debata o kierunkach rozwoju państwa to dziś produkt niszowy, całkowicie niedostępny na półkach „politycznego supermarketu”.

Obserwatorzy i uczestnicy życia politycznego, którzy opisane zjawiska obserwują z troską, przywitani rewolucją informacyjną z nadzieją, a często wręcz naiwnym entuzjazmem. Jeżeli rozwój ICT silnie „dowartościowuje” jednostkę wobec grupy, wspólnoty, czy instytucji³, to nowe technologie mogą się stać skutecznym narzędziem dla przywrócenia polityki obywatelom. Dotyczy to zarówno relacji obywatel – administracja publiczna, mobilizacji do silniejszej aktywności obywatelskiej, jak i udziału w debacie publicznej⁴. We wszystkich tych dziedzinach istota wykorzystania ICT sprowadza się do radykalnego obniżenia kosztów udziału jednostki w życiu publicz-

skiej demokracji), ale odzwierciedla tendencje ogólne i ujmowane w dłuższej perspektywie czasowej. Zob. R. Dalton, *Citizen politics*, Chatham 1996.

³ W radykalnej wersji istotę społecznych konsekwencji rewolucji informacyjnej sprowadza się do tzw. koncepcji 6D (demasyfikacja, decentralizacja, denacjonalizacja, despacjalizacja, dezintermediacja, dezagregacja). Zob. J. S. Brown, P. Duguid, *The Social life of information*, Boston 2000.

⁴ Oczywiście poza wymienionymi trzeba wspomnieć koncepcję tzw. elektronicznych wyborów, a więc wykorzystania Internetu jako medium do głosowania. Ponieważ pełna realizacja tej idei ma poważne konsekwencje ustrojowe i budzi daleko idące kontrowersje, nie jest ona przedmiotem analizy w dalszej części tekstu. Warto jednak pamiętać, że jest to najbardziej radykalna forma zastosowania ICT w sferze polityki. Szerzej na ten temat zob. L. Porębski, *Elektroniczne oblicze polityki. Demokracja, państwo, instytucje polityczne w okresie rewolucji informacyjnej*, Kraków 2001.

nym i stworzenia zupełnie nowych możliwości takiego udziału. W konsekwencji obywatel mógłby łatwiej, skuteczniej – a więc i chętniej, wpływać na sferę polityki. Ideę takiej „rewitalizacji” współczesnego systemu demokratycznego zwykło nazywać się najczęściej elektroniczną demokracją, a rozważania na temat realności i perspektyw tej wizji stały się w ostatnich latach istotnym elementem dyskusji o kondycji życia publicznego w krajach demokratycznych.

Perspektywy elektronicznej demokracji. Lekcje dla Polski

Szczegółowe rozważania na temat perspektyw elektronicznej demokracji wykraczają poza tematykę tego tekstu. W tym miejscu warto jednak zastanowić się, co z gwałtownego rozwoju nowych technologii informacyjnych i komunikacyjnych może wynikać dla kształtu polskiej demokracji.

Nietrudno zauważyć, że polski system demokratyczny charakteryzują zarówno opisane wcześniej symptomy ogólniejszego kryzysu, jak i własne – niekoniecznie wyjątkowe, ale wyjątkowo bolesne – problemy. Wśród tych ostatnich wymieniłem przede wszystkim brak przejrzystości w funkcjonowaniu struktur państwa, co jest jednym z istotnych czynników stymulujących korupcję, klientelizm oraz quasi-lobbying sprowadzający się najczęściej do działań niezgodnych z prawem. Czy i na ile więc elektroniczna demokracja może stać się lekiem dla polskiej demokracji? Spróbujmy przyjrzeć się najistotniejszym kwestiom.

Rewolucja informacyjna to gwałtowny przełom w sferze procesów komunikacji. W uproszczeniu można uznać, że istota zmian sprowadza się do odejścia od modelu jeden nadawca – wielu odbiorców (tak funkcjonują wszystkie tradycyjne media – radio, TV, a także prasa) na rzecz modelu opartego na wielu uczestnikach procesu komunikacji. W tym ostatnim nie obowiązuje już sztywny podział na aktywnych nadawców i biernych odbiorców. Każdy mający dostęp na przykład do Internetu może wybrać odpowiadającą mu rolę – odbiorcy wtedy, gdy czyta w sieci najnowsze informacje, albo nadawcy – gdy komentuje wydarzenia, umieszcza w sieci zdję-

cia itd. Warto zwrócić uwagę na to, że obecnie samo posiadanie telefonu komórkowego wyposażonego w aparat fotograficzny pozwala na aktywne współtworzenie procesu masowej komunikacji. Dowodzą tego dziesiątki zdjęć i filmów wykonanych przez prywatne, przypadkowe osoby w metrze londyńskim tuż po serii zamachów terrorystycznych w lecie 2005 roku, a pokazywanych później przez wszystkie stacje telewizyjne świata.

Konsekwencją tego stanu rzeczy jest znaczne ułatwienie dostępu do informacji i zwiększenie liczby potencjalnych źródeł informacji. Ma to istotne znaczenie dla każdego odbiorcy, zwłaszcza jednak dla społeczności rozproszonych i oddalonych od centrum funkcjonowania szerszej wspólnoty. Dobrym przykładem jest diaspora, do niedawna skazana na monopol mediów w kraju zamieszkania lub – w przypadku większych i silniejszych ekonomicznie skupisk – na własną prasę lub rozgłośnie radiowe. Polska, wielomilionowa emigracja jest dzisiaj znacznie bliżej kraju, a zwłaszcza spraw istotnych dla ludzi mieszkających w Polsce, wyłącznie dzięki rozwojowi ICT. Wszystkie w zasadzie liczące się krajowe media posiadają swe serwisy sieciowe, a ich dostępność jest uwarunkowana wyłącznie dostępnością samego Internetu. Nie ma przeszkód, by śledzić uważnie życie publiczne w Polsce z perspektywy Auckland, Buenos Aires czy Oslo, bez ponoszenia istotnych kosztów. Co więcej, opisana wcześniej specyfika sieciowego modelu komunikacji pozwala na aktywne współuczestniczenie w życiu publicznym. Dotyczy to nie tylko bardzo licznych wypowiedzi Polaków mieszkających za granicą na forach dyskusyjnych internetowych portali. Sieć ułatwia znacząco partycypację w procesie politycznym sensu stricto. W przypadku istotnych dla emigracji decyzji podejmowanych przez parlament głos zainteresowanych nie musi już być wyrażany przez często skostniałe struktury organizacji polonijnych. Tysiące listów elektronicznych przesłanych spontanicznie lub w sposób zorganizowany na witrynę Sejmu jest nie mniej znaczącym udziałem w dyskusji nad istotnymi dla emigracji kwestiami.

Nie ma zresztą żadnego powodu, dla którego opisany typ debaty miałby ograniczać się do kwestii lobbingu w sprawach legislacyjnych istotnych dla emigracji. W grę wchodzić może wymiana doświadczeń pomiędzy krajowymi i emigracyjnymi organizacjami społecznymi i kulturalnymi,

utrzymywanie więzi ziomkostw emigracyjnych z regionem pochodzenia, czy pomoc dla polskiej edukacji na obczyźnie.

Olbrzymie znaczenie może mieć zwłaszcza tego typu aktywność dla nielicznych środowisk emigracyjnych mieszkających w rejonach bardzo oddalonych od kraju i o dużym stopniu rozproszenia. Można przyjąć, że rozwój ICT niekoniecznie radykalnie zmienił formułę kontaktów z krajem w przypadku Polaka zamieszkałego w Londynie czy Chicago. Dla tych, którzy żyją z dala od innych rodaków lub z dala od dużych skupisk polonijnych, sytuacja ma zupełnie nowy charakter.

Warto w tym kontekście wspomnieć także o mieszkańcach krajów utrudniających kontakty z Polską metodami administracyjnymi. Zazwyczaj jest to związane z represyjnością samego systemu politycznego, a to zwykle oznacza próby ograniczania wolności w sferze ICT i na przykład cenzurowania Internetu. Niewątpliwie jednak istnienie sieci znacząco utrudnia pełną kontrolę zarówno przepływu informacji, jak i komunikacji. Nawet więc w krajach autorytarnych działania próbujące przywrócić informacyjny monopol państwa nie są do końca skuteczne. Wydaje się, że także dla Polaków na Białorusi, mimo niewielkiego oddalenia od kraju, istnienie nowych możliwości komunikacji i przekazywania informacji może mieć bardzo istotne znaczenie.

*

Generacją, dla której korzystanie z ICT stanowi najmniejszą barierę – niezależnie od miejsca zamieszkania – jest oczywiście młodzież. Warto zwrócić uwagę, że w dziedzinie dostępu do nowych technologii i edukacji w zakresie ich użytkowania udało się w Polsce osiągnąć spore sukcesy. Dla młodych ludzi Internet czy telefon komórkowy są elementami codzienności w stopniu nie mniejszym niż w przypadku ich rówieśników w krajach najbardziej rozwiniętych. Ma to swoje istotne konsekwencje także w sferze życia społecznego. Najbardziej spektakularnym i najczęściej przytaczanym przykładem jest wykorzystanie ICT jako środka do masowej mobilizacji społecznej w okresie po śmierci Jana Pawła II. Potencjał Internetu czy telefonów komórkowych w tym zakresie został wykorzystany w sposób optymalny, a co istotniejsze odbywało się to bez żadnej scentralizowanej koor-

dynacji. Marsze i zgromadzenia żałobne w kwietniu 2005 roku wykazały jak mocno ICT są w stanie stymulować aktywność społeczną w skali masowej.

W znacznie mniejszej skali, ale nie mniej skutecznie, już od wielu lat sieć wykorzystywana jest do mobilizacji kibiców drużyn piłkarskich w momentach zwalczania się na rytualne starcia ze zwolennikami drużyn „wrogich”, a także przez członków nielicznych radykalnych grup politycznych dla przygotowania spotkań czy demonstracji.

Większość młodego pokolenia wykorzystuje jednak w tym samym czasie ICT wyłącznie do rozmów z przyjaciółmi, nagrywania plików muzycznych czy gier sieciowych, pozostając świadomie na marginesie głównego nurtu życia obywatelskiego. Główne przyczyny tego typu postaw tkwią niewątpliwie w hierarchii wartości młodych ludzi, w której życie publiczne, a zwłaszcza polityka, nie zajmują kluczowej pozycji.

Także jednak w stosunku do młodych ludzi ma zastosowanie zasada racjonalizacji kosztów udziału w życiu publicznym. Oznacza to, że nastolatek, oburzony na naganne zachowanie polityka X, napisze swój komentarz na sieciowym forum dyskusyjnym lub podpisze list protestacyjny w sieci, nigdy natomiast nie zdobyłby się na wysłanie listu do redakcji gazety czy zorganizowanie tradycyjnego protestu. Te same formy udziału w życiu publicznym pociągają za sobą znacznie mniejsze koszty przy wykorzystaniu ICT niż w przypadku aktywności tradycyjnej. Większa część populacji jest więc skłonna skorzystać na przykład z sieci do wyrażania swoich opinii czy interesów, niż wykorzystywać klasyczne kanały politycznej artykulacji. Dotyczy to szczególnie ludzi młodych, bo jak wspomniano wcześniej, w ich przypadku zostały już w zasadzie wyeliminowane dodatkowe koszty w postaci konieczności nauczenia się korzystania z nowych technologii.

Co prawda żaden nastolatek zupełnie obojętny wobec polityki nie zainteresuje się nią pod wpływem ICT, ale nasycenie życia publicznego różnymi sieciowymi formami mobilizacji społecznej czy wyrażania opinii daje szansę na aktywizację tej części młodego pokolenia, która powstrzymuje się od aktywności z powodu zbyt wysokich w swym mniemaniu kosztów wejścia w sferę debaty publicznej. Prawdopodobieństwo, że rzeczywiście uda się uruchomić tego typu mechanizm będzie oczywiście tym większe, im silniejsze wytworzy się poczucie realnego wpływu na rzeczywistość u aktywnych uczestników elektronicznej demokracji.

*

Opisana wcześniej specyfika sieciowej komunikacji, znacznie utrudniająca monopol informacyjny ze strony państwa z jednej, a komercyjnych gigantów rynku medialnego z drugiej strony, była najczęściej traktowana jako szansa na ożywienie realnej debaty publicznej, wprowadzenie głosu obywateli do dyskusji o istotnych dla wszystkich kwestiach. Doświadczenia krajów najbardziej zaawansowanych w sferze rewolucji informacyjnej – przede wszystkim USA – bardzo mocno zweryfikowały jednak ten pogląd. Co prawda już w 2000 roku prawie co piąty Amerykanin korzystał z sieci jako źródła informacji wyborczej, ale aż ponad połowa z nich (55 proc.) odwiedzała przede wszystkim witryny ogólnokrajowych mediów komercyjnych (takich jak CNN, New York Times itp.), a tylko 19 proc. szukało wiadomości w niekomercyjnych sieciowych witrynach politycznych⁵. Innymi słowy, sieć, która miała być alternatywą dla poddanego logice komercyjnego rynku świata mediów, została stosunkowo szybko „skolonizowana” przez medialnych gigantów i stała się jeszcze jedną formą dostępu dla informacji obecnych w mediach tradycyjnych.

Alternatywna, niekomercyjna wizja polityki jest obecna w sieci i ma ona stałą grupę odbiorców. Ludzi tych można nazwać beneficjentami rewolucji informacyjnej w sferze informacji politycznej. Podstawowym problemem pozostaje jednak niewielka liczebność tej grupy, a więc brak realnego popytu na informację polityczną konstruowaną według odmiennych od komercyjnych wzorców.

Przytoczone dane amerykańskie muszą brzmieć jak ostrzeżenie dla każdego wierzącego w wykorzystanie ICT dla radykalnej przemiany coraz bardziej komercyjnej formuły informowania i dyskusowania o polityce (określenie „debata publiczna” byłoby w tym kontekście nadużyciem) w Polsce. Społeczeństwo amerykańskie charakteryzuje się bardzo wysokim stopniem aktywności obywatelskiej, a sieć organizacji współtworzących społeczeństwo obywatelskie jest wyjątkowo gęsta. Mimo to niezależne sieciowe serwisy polityczne pozostają de facto na marginesie debaty publicznej w USA. W tej sytuacji nadzieje na przełamanie skomercjalizowanej formuły informacji i dyskusji politycznej w Polsce w oparciu o Internet wydają się nie-

⁵ The Pew Research Centem, styczeń 2003, www.pewinternet.org

wielkie. Polskie media, przeżywają w chwili obecnej rodzaj zachłyśnięcia polityką w wersji sondażowej i wizerunkowej, co w oczywisty sposób kształtuje także oczekiwania i preferencje obywateli. W rezultacie otwartość na debatę o wartościach, ideach czy priorytetach rozwojowych jest stosunkowo niewielka i sieciowe forum dla tego typu rozważań nie ma w krótkiej perspektywie szans na wejście w główny nurt opisu polskiego życia politycznego.

Nie oznacza to oczywiście, że zwolennicy pogłębionego dyskursu politycznego są zupełnie bezbronni wobec formuły dyskusji o polityce sprowadzającej się do kolejnych debat w gronie tych samych polityków, poświęconych kwestii „kto kogo?” Wydaje się, że pierwszym krokiem ku budowie przestrzeni dla niezależnej od mediów debaty powinno być kreowanie forów poświęconych kwestiom lokalnym. Problemy dotyczące rzeczywistości „za oknem” są w oczywisty sposób bliższe perspektywie przeciętnego obywatela niż abstrakcyjna dla wielu ogólna debata o polskiej demokracji. Co więcej, łatwiej jest dyskutować o podstawowych konfliktach i dylematach typowych dla demokracji na przykładzie budowy miejskiej spalarni śmieci, niż w kontekście na przykład abstrakcyjnych problemów budżetowych.

Najprostszym narzędziem stymulującym dyskusje o polityce w sieci mogą być fora dyskusyjne, serwisy typu „dialog społeczny” czy czat, poświęcone sprawom lokalnym i umieszczane na witrynach władz samorządowych lub lokalnych stowarzyszeń i organizacji. Nie są one miejscem debaty publicznej w skali makro, ale w skuteczny sposób uczą zabierania głosu w sprawach publicznych, kształtują więc „wrażliwość obywatelską”, niezbędną dla chęci debaty o polityce w ogóle.

Niestety, w chwili obecnej nawet te skromne narzędzia sieciowego dialogu politycznego pozostają w Polsce w załączku. W czerwcu 2005 roku tylko około 4,5 proc. witryn powiatów ziemskich udostępniało swym użytkownikom czat poświęcony sprawom lokalnym. Na 15 proc. witryn powiatowych można było wziąć udział w sondzie, a na 27 proc. witryn funkcjonowały fora dyskusyjne na tematy lokalne⁶. Dane te wskazują, że istnieją jesz-

⁶ Badania przeprowadzone przez autora w maju 2005 roku. Zob. L. Porębski, *Internet jako narzędzie komunikacji z mieszkańcami na szczeblu lokalnych instytucji samorządowych*, referat wygłoszony na III Ogólnopolskiej Konferencji „Społeczeństwo informacyjne. Aspekty funkcjonalne i dysfunkcjonalne”, Kraków, czerwiec 2005.

cze ogromne rezerwy w możliwościach kreowania alternatywnej dla logiki masowych mediów rozmowy o polityce. Jednocześnie jednak jesteśmy ciągle bardzo daleko od przekroczenia punktu krytycznego, poza którym można by mówić o realnym istnieniu obywatelskiego nurtu debaty publicznej w Polsce.

*

Ostatnią sferą, której warto się choćby skrótowo przyjrzeć w kontekście poprawy jakości polskiej demokracji dzięki wykorzystaniu ICT, jest tak zwana elektroniczna administracja (elektroniczna biurokracja). Idea ta sprowadza się do wykorzystania nowych technologii w relacjach obywatela ze strukturami administracyjnymi na wszystkich szczeblach. Pełna realizacja tego typu koncepcji najsilniej chyba spośród wszystkich aspektów elektronicznej demokracji jest odczuwalna przez zwykłych obywateli. Możliwość załatwienia spraw administracyjnych za pomocą Internetu, a więc bez konieczności osobistego pojawiania się w urzędzie, oznacza radykalne oszczędności czasowe i większą dostępność urzędu dla obywatela (usługi w wersji elektronicznej są oczywiście dostępne przez 24 godziny na dobę – znika więc pojęcie „godzin urzędowania”). W efekcie wzmacnia się pozycja obywatela wobec struktur państwa.

W kontekście polskiej demokracji idea elektronicznej administracji ma jeszcze jeden istotny walor. Funkcjonowanie wszelkich instytucji biurowatycznych staje się w wersji elektronicznej znacznie bardziej przejrzyste niż w przypadku form tradycyjnych. Stosunkowo łatwo jest uruchomić serwis pozwalający obywatelowi na prześledzenie drogi danej sprawy na wszystkich etapach jej załatwiania, a więc także sprawdzenie, na których szczeblach struktury administracyjnej dochodzi na przykład do zablokowania czy opóźnienia procedury. Zwiększa to radykalnie poziom personalnej odpowiedzialności konkretnych urzędników za sposób realizacji swych obowiązków, a w konsekwencji czyni pracę administracji przejrzystą w skali nieosiągalnej bez wykorzystania ICT. Co więcej, brak bezpośredniego kontaktu klienta urzędu z konkretnym urzędnikiem zmniejsza pole dla ewentualnych zachowań korupcyjnych.

W krajach, w których – jak w przypadku Polski – korupcja, a także uznaniowość decyzji administracyjnych jest istotną barierą rozwojową, inten-

sywny rozwój elektronicznej administracji powinien stać się istotnym priorytetem państwa. Pełna realizacja tego typu rozwiązań na wszystkich szczeblach administracji publicznej pozwala na jednoczesną realizację dwóch celów istotnych z punktu widzenia jakości systemu demokratycznego. Po pierwsze, stwarza obiektywne warunki dla ograniczenia korupcji i działań niezgodnych z prawem. Po drugie zaś, daje obywatelowi poczucie częściowej choćby kontroli nad jego relacjami z urzędem – a więc zamienia petenta zdanego na łaskę biurokracji w partnera posiadającego swe prawa i mającego w ręku narzędzia do ich realizacji.

*

Przytoczone powyżej przykłady wykorzystania nowych technologii informacyjnych i komunikacyjnych dla poprawy jakości funkcjonowania polskiej demokracji nie powinny być oczywiście traktowane jako remedium na wszelkie problemy. ICT nie są pigułką, której zażycie czyni z apatycznego pacjenta pełnego werwy i energii aktywistę. Rewolucja informacyjna dostarcza co najwyżej narzędzi dających możliwość zmiany formuły życia publicznego w kierunku większej podmiotowości obywateli. Czy możliwość ta zostanie wykorzystana, to temat na osobne rozważania. Warto mieć jednak świadomość środków pozostających do naszej dyspozycji w działaniach na rzecz wzmacniania podstaw demokracji. Ich zastosowanie nie daje gwarancji sukcesu, ale zaniechanie jakiegokolwiek terapii oznacza zgodę na coraz poważniejsze kłopoty.

*Marek A. Cichocki**

Mediokracja

Kampania w wyborach parlamentarnych i prezydenckich dostarczyła wyjątkowo bogatego materiału, który pozwala lepiej zrozumieć stan polskiej demokracji. To, jak fatalny wpływ na jakość kultury politycznej w naszym kraju miały dotąd elity polityczne (ich biznesowe czy towarzyskie związki, brak kompetencji, lekceważenie dla dobra wspólnego lub brak jego zrozumienia) – jest od pewnego czasu wiedzą powszechną, wręcz banalną. Zwykle też to właśnie polityków czyni się bezpośrednio odpowiedzialnymi za zniechęcenie Polaków do sfery politycznej i do państwa, które przejawia się między innymi niskim zaufaniem do instytucji politycznych oraz malejącą frekwencją wyborczą.

Jednak wbrew temu powszechnemu przekonaniu do głównych bohaterów ostatnich kampanii wyborczych urastają przede wszystkim media, a ich rola w kształtowaniu określonego charakteru polskiej demokracji staje się kluczowa. Dostrzegając ten problem, Rada Etyki Mediów wezwała przed kilkoma dniami do rozpoczęcia po wyborach prezydenckich zasadniczej debaty na temat roli, jaką w obu ostatnich kampaniach odegrali dziennikarze. Treść listu Rady utrzymana jest w tonie dość alarmistycznym, dlatego warto zastanowić się nad przyczynami tak dużego niepokoju.

Przed wszystkim trudno nie zadać sobie pytania, jaki jest obecnie stan związania mediów z polityką, szczególnie po tym, co dowiedzieliśmy się o III Rzeczypospolitej dzięki aferze Rywina. Czy nastąpiło tutaj jakieś istotne oczyszczenie? Rola mediów w ostatnich kampaniach wyborczych dostarcza, niestety, sporo negatywnych przykładów, z mediami publicznymi na

* Instytut Stosowanych Nauk Społecznych UW.

czele, gdzie własne polityczne sympatie dziennikarzy spotykają się nierzadko z niepokojącą podatnością na presję ze strony polityków. Efektem tego nie jest tylko polityczna dyspozycyjność czy jawna stronniczość w treści przekazu, ale również odpowiednia selekcja informacji lub po prostu niedopuszczanie informacji niekorzystnych dla danej strony sporu politycznego. Oddzielną kwestią jest absolutnie nieodpowiedzialne posługiwanie się przez media badaniami opinii publicznej – lub wręcz ich inicjowanie – w celu stymulowania politycznymi preferencjami opinii publicznej. Najbardziej niedopuszczalną formą tego procederu jest nagminne wykorzystywanie podczas debat politycznych tzw. sondy SMS-owej.

Równie ważne jest zjawisko funkcjonalnej autocenzury, które staje się coraz bardziej wyraźne w środowisku dziennikarskim. Powoduje ono, że w przekazie medialnym szybko utrwalają się sztywne warunki brzegowe tego, co uznaje się za informację do przekazania lub akceptowalną interpretację, a co nie. Łatwość poddawania się dziennikarzy sile takich wyznaczonych przez ich kolegów tropów powoduje, że znika zdolność do krytycznego spojrzenia na funkcjonujące w mediach formy informacji i komentarza, a dominuje skłonność do ich bezrefleksyjnego lub, co gorsza, świadomego powtarzania. W efekcie – już bez bezpośredniej presji ze strony polityków – niektóre informacje i komentarze z wielkim trudem mogą przedostać się do medialnego przekazu lub nie przedostają się wcale.

Wreszcie trzeba zwrócić uwagę na niepokojące utrwalenie się w polskich mediach szczególnej kultury dziennikarstwa, która tak wyraziście zaktualizowała się w wypadku ostatnich wyborów. Jest to kultura „naganiaczy”. Dziennikarze, którzy ją wyznają, wyraźnie zaczęli skracać swój dystans do polityków i polityki. Z programów telewizyjnych zaczęły znikać dyskusje na temat polityki z udziałem komentatorów, specjalistów z innych dziedzin – politologii, socjologii, filozofii, literatury. Partnerem do dyskusji z politykami stał się sam dziennikarz, który zapraszając ich do studia (najlepiej po dwóch), wydaje się zainteresowany przede wszystkim tym, aby doprowadzić do kłótni między nimi. W miejsce dawnej debaty politycznej pojawił się polityczny reality show, w którym głównymi bohaterami stali się prowadzący. Studio przypomina, także w wystroju, bardziej arenę cyrkową niż agorę – także funkcja rozmowy ma raczej cyrkowy, niepoważny charakter.

Wszystkie wymienione kwestie prowadzą przynajmniej do trzech podstawowych wniosków. Po pierwsze, należy negatywnie zweryfikować popularną, liberalną tezę, zgodnie z którą gwarancją niezależności mediów jest ich pluralizm. Jest on warunkiem, a nie gwarancją niezależności, i na przykładzie polskich mediów widać to ewidentnie. Pomimo różnych tytułów i wielości stacji telewizyjnych i radiowych uderzająca jest jednolitość informacji, komentarzy i postaw sporej części dziennikarzy. Po drugie, media w Polsce ponoszą przynajmniej taką samą odpowiedzialność za zniechęcenie obywateli do polityki oraz malejącą frekwencję w wyborach, co tak często przy tej okazji krytykowani politycy. Sposób przedstawiania debaty politycznej przez media – szczególnie w ostatnich dwóch kampaniach – jest wręcz zabójczy dla życia politycznego, obniżając jego poziom. W tym kontekście można zarzucić samym politykom tylko to, że żaden z nich nie odważył się ostro sprzeciwić narzuconej przez media cyrkowej konwencji prowadzenia debat. Po trzecie wreszcie, warto pamiętać, że czwarta władza w Polsce – wbrew temu, co może sądzić część zadowolonych z siebie dziennikarzy – nie jest wcale tworem całkowicie samodzielnym. Wyrasta ona z tego samego procesu transformacji lat dziewięćdziesiątych i wszystkie negatywne skutki tej ewolucji dotyczą świata mediów w tym samym stopniu, co pozostałe sfery życia w Polsce. Zauważalnie niski stan świadomości tego faktu wśród sporej części dziennikarzy sprawia, że krytyczne podejście do własnej roli w świecie polityki staje się w mediach zjawiskiem coraz radszym.

I na koniec pewna ogólna uwaga. Podobno w środowisku lekarskim, szczególnie w chirurgii, rozpoznany jest „syndrom boga” – przekonanie o własnej wszechmocy i nieomyślności, w które popadają czasami ci, którzy codziennie ratują ludzkie życie. Obserwując zachowania niektórych dziennikarzy podczas ostatniej kampanii wyborczej, można było dojść do wniosku, iż to niezwykle niebezpieczne autozłudzenie zaczęło się szerzyć także w świecie polskich mediów.

*Maciej Łętowski**

Media nie zastąpią agory

Kształt debaty

Zmieniłem sąd o kształcie polskiej debaty po tym, jak dziś rano spotkałem się z grupą dziennikarzy z Azji Środkowej, w tym z Kazachstanu. Opowiadałem im o losach polskiej prasy pod rządami komunistycznej dyktatury i w wolnej Polsce. Aby uplastyczyć wykład, pokazałem między innymi „Trybunę Ludu” z 1971 roku, a w niej już na pierwszej stronie pełny tekst referatu programowego tow. Edwarda Gierka z okazałym zdjęciem. Na to moi koledzy ze Wschodu zrewanżowali się świeżym wydaniem gazety, w której pierwsze strony są poświęcone jedynie rozmaitym przejawom aktywności prezydenta Nazarbajewa. Przeglądając tę gazetę, dobitnie uświadomiłem sobie, jak wielką drogę przebyliśmy w ciągu ostatnich szesnastu lat. Owszem, trapią nas liczne bolączki, jesteśmy krajem po poważnych przejściach, ale nasze współczesne problemy są już bardzo podobne do tych, z jakimi się borykają czytelnicy i dziennikarze w świecie zachodnim.

Musimy przede wszystkim oddać hołd wolnemu rynkowi, gospodarce kapitalistycznej. To dzięki niej „Trybuna” (dawniej „Ludu”) jest już tylko niewiele warta własnością prywatnego inwestora, natomiast o jej nakładzie decydują czytelnicy i konkurencyjny rynek prasowy. Pamiętam dobrze namiętne debaty z początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy lękaliśmy się przewidywanej ekspansji zachodnich, a zwłaszcza niemieckich inwestorów na polski rynek prasowy. Większość z tych obaw się nie sprawdziła; dzięki za-

* Publicysta prasowy, adiunkt w Instytucie Socjologii KUL.

chodnim, w tym niemieckim inwestorom, polska prasa została gruntownie zmodernizowana i nie trafiła w ręce rodzimych, postkomunistycznych oligarchów, co stało się udziałem prasy w Rosji i na Ukrainie.

Sądzę, że oczekiwania wobec mediów są zbyt duże. Media są przestrzenią debaty publicznej, ale nie są najlepszym dla niej forum. Jej odpowiednim i tradycyjnym miejscem jest agora (rynek, stowarzyszenie, gmina, trybuna sejmowa), gdzie spotykają się obywatele, aby dyskutować ze sobą *face to face*, a nie za pośrednictwem kamer telewizyjnych, które upowszechniając debatę, zarazem w jakiejś mierze zniekształcają ją. Jeśli więc pozwolimy na to, aby media wyparły agorę, pozbawimy się debaty publicznej. Debata jest przecież ze swej istoty wymianą równoprawnych poglądów i starciem rozmaitych interesów, natomiast gazeta zapewnia pionową komunikację i jest „towarem”; program telewizyjny jest towarem do potęgi. I choć zespół dziennikarski od działów marketingu i reklamy dzieli, albo dzielić powinna, szklana ściana, to nawet najbardziej obywatelsko zorientowana gazeta musi się sprzedawać na rynku. Redaktor naczelny nie jest rozliczany z tego, czy pomnożył dobro publiczne, ale z tego, czy pomnożył nakład.

Polski rynek medialny ma specyfikę wynikającą z niedawnej przeszłości. Tu i ówdzie nadal możemy jeszcze dostrzec przejawy etosu inteligenckiego, czyli przeświadczenia, że dziennikarstwo jest nie tylko zawodem, ale i misją w jakiejś mierze obywatelską. Widać to dobrze w takich pismach, jak choćby „Rzeczpospolita”, „Gazeta Wyborcza” czy „Polityka”. Jeśli redaktor „Gazety Wyborczej” w piątek poprzedzający wybory parlamentarne wezwał do głosowania na Partię Demokratyczną, która nie miała najmniejszych szans na wejście do Sejmu, to w sposób oczywisty naraził się działowi sprzedaży. Górę w nim wzięła motywacja etosowa, przywiązanie – wbrew realiom ekonomicznym – do idei i ludzi, którzy odegrali w najnowszej historii Polski znaczącą rolę, a którzy dziś wypadli poza nawias realnej polityki. Fakt, że „Polityka” jako jedyny wielki tygodnik opinii jest nadal wydawana przez spółdzielnię dziennikarzy, stanowi biznesową manifestację obywatelskiej misji zawodowej.

Drugą specyfiką naszej debaty publicznej było wieloletnie ciążenie komunistycznej przeszłości. Miałem – nie tylko ja jeden – uczucie ogromnej

satysfakcji, kiedy polska polityka podzieliła się na liberalów z Platformy Obywatelskiej i konserwatystów z Prawa i Sprawiedliwości. Po szesnastu latach od upadku komunizmu nasza debata została uwolniona od komunistycznego garbu. Miejsce byłych sekretarzy wojewódzkich PZPR zajęli demokratyczni politycy. Po raz pierwszy w najważniejszej debacie politycznej nie brali udziału „oni”, by zacytować Teresę Torańską.

Artykulacja poglądów czy porozumiewania się

Z pewnością w mediach dominuje artykulacja poglądów, gdyż czytelnicy i widzowie oczekują wyrażenia zarysowanych różnic. Zasada, która rządzi rynkiem mediów powiada, że im większa oglądalność, tym bardziej plakatowy sposób prezentowania poglądów. Znakomicie tę zależność dostrzegł i wyraził już w 1935 roku wydawca pierwszego polskiego dziennika masowego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” pisząc: „Jesteśmy głosem milionów i głosem dla milionów. Dziś wiemy, że dziennik to chleb codzienny najszerzszych mas. Trzeba krzyżeć, aby być słyszany przez wielki tłum”.

Jeśli chodzi o „porozumiewanie się”, to karykaturalnym tego przejawem są programy, w których na oczach milionowej widowni córka „porozumiewa się” z wyrodnym ojcem alkoholikiem, który przez lata bił ją, a następnie wyrzucił z domu. To „porozumienie” jest dziełem moderatora telewizyjnego oraz... sutego honorarium wypłaconego „aktorom” przed lub po programie.

W telewizjach komercyjnych stary dziennikarski gatunek, jakim jest rozmowa czy wywiad, wyparł importowany z Ameryki talk-show. Pamięamy programy z pierwszej telewizji komercyjnej, kiedy na dachu wieżowca lądował helikopter, a następnie jakiś pan tłumaczył widowni, dlaczego nie ma nic do zarzucenia żonie, która pracuje w agencji towarzyskiej. Telewizja publiczna nieśmiało próbowała sprostac temu wyzwaniu, zapraszając rasowych dziennikarzy do prowadzenia programów. Szybko jednak okazało się, że w talk-show nie ma miejsca dla dziennikarza, jest natomiast miejsce dla aktora, gdyż w tej „rozmowie” chodzi nie o debatę, ale o widowisko.

Reprezentatywność debaty

Z debat w Polsce, podobnie jak na całym świecie, wykluczeni są ci, którzy nie mają pieniędzy. Uczestnictwo w debacie wymaga przecież pewnych nakładów, choćby na dentystę i krawca. Pieniądz, co oczywiste, zawsze był i jest regulatorem dostępu do agory. Inny rodzaj wykluczenia ma charakter kulturowy. Ktoś, kto nie włada dobrze językiem polskim, ktoś, kto nie potrafi sprawnie wyartykułować swych poglądów, zostaje wykluczony z debaty. Wykluczeni z tych powodów szukają zastępczych przestrzeni wyrażania poglądów, odnajdują się w przestrzeni ulicy, stadionu sportowego i bazaru. Wreszcie, wykluczeni są ci, którzy nie akceptują „politycznej poprawności”, czyli liberalnej wulgaty. Stąd zrodził się fenomen Radia „Maryja”. Słuchane jest przez milionową publiczność nie dlatego, że na antenie występują Macierewicz i Wrzodak, ale dlatego, że jest radiem religijnym i modlitewnym, a modlitwa nie mieści się dziś w żadnym z radiowych formatów.

Głos na koniec panelu

Czytelnicy i widzowie oczekują od dziennikarzy nie tylko informacji, ale również pomocy w uporządkowaniu szumu informacyjnego oraz podania wydarzeń ocenie w świetle jakiego systemu wartości. Miniona kampania wyborcza pokazała, że gazety, nawet te wysokonakładowe, nie unikają zajęcia stanowiska. To stanowisko w dużej mierze nie jest motywowane poglądami politycznymi prezesa lub właściciela, ale grupą docelową „produktu”. Dlatego tabloid „Fakt” (wydawany przez Springera) wspierał PiS i Lecha Kaczyńskiego, a tygodnik opinii „Newsweek” (wydawany przez tego samego Springera) skłaniał się ku PO i Donaldowi Tuskowi. Tabloid ze swej natury jest bowiem populistyczny i konserwatywny, a tygodnik opinii – liberalny. Komercyjny rynek mediów nie ma, bo mieć nie może, sympatii partyjnych, ma natomiast interesy ekonomiczne i czytelnicze „grupy docelowe”, gdzie napotyka na dominujące poglądy.

*Gerald Abramczyk**

Media nie dojrzały do swej roli

W czasie wyborów widzieliśmy, że interakcja między politycznymi liderami a publicznością wymaga pośrednictwa. Rolę tę powinny spełnić media. W praktyce tak się jednak nie stało. Są ku temu dwa powody. Pierwszy to dążenie do wtłaczania przesłań polityków w formie newsu i ramek. Zamiast w swej roli pośredniczącej (łącznikowej) patrzeć na problemy jako pewne całości, media próbowały za wszelką cenę epatować odbiorców czymś nowym, niezwykłym, sensacyjnym. Ponadto wykazując swego rodzaju nadaktywność, wtłaczały wypowiedzi polityków we własne „ramki”, nadając im własną interpretację i sens.

Drugi – to przyjmowanie przez dziennikarzy z góry negatywnego nastawienia. Zamiast być możliwie neutralnym i wiernym medium pośredniczącym, dziennikarze stawali się „psami gończymi”, krytykami i przeciwnikami tych, którzy byli ich interlokutorami. Nastawienie mediów: „jeśli nie masz do powiedzenia czegoś złego, to w ogóle nie mów”, nie pozostawiało miejsca na konstruktywną komunikację.

W sumie ta newsowo-ramkowa forma i owo nadaktywne śledcze nastawienie spowodowały, że media zamiast być solidnym pomostem między politykami a publicznością, stały się raczej filtrem interpretacyjnym kanałów komunikacji.

* Wykładowca, Uniwersytet Warszawski, Polska Akademia Nauk.

*Edwin Bendyk**

Media, Nowe Media i dialog społeczny

Przed laty, w roku bodaj 1988, na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego miało miejsce spotkanie z Tadeuszem Konwickim. Jeden ze studentów zapytał pisarza o jego zdanie na temat terroryzmu. Ten odparł, że woli polski model dialogu, w którym na koniec dnia ofiara siada z katem i wspólnie piją wódkę, niż gdyby miał uciekać przed ganiającymi po ulicach świrami w pończochach na twarzach z automatami w rękach. Rok później, bez stosowania terroru, dopełniła się w Polsce solidarnościowa rewolucja.

Dziś wybitny krytyk literacki prof. Przemysław Czapliński stwierdza, że dla coraz większej liczby polskich pisarzy kwestia terroru przestaje być tematem odstręczającym. Terror w literaturze pojawia się jako remedium na atrofię społecznej komunikacji, na zablokowanie kanałów porozumiewania się, które umożliwiłyby zaistnienie w przestrzeni publicznej niezliczonych głosów niemieszczących się w tak zwanym dyskursie dominującym, a więc głosów różnych mniejszości oraz wykluczonych, socjalnie i ekonomicznie, w procesie ustrojowej transformacji.

Od artystycznych intuicji do ich realizacji w postaci rzeczywistych aktów terroru droga daleka. Ale głosy pisarzy, ludzi bardziej z natury wyczulonych na język społecznej komunikacji, nie wolno lekceważyć jako właśnie symptomu oznaczającego, że z komunikacją społeczną w Polsce jest bardzo źle. A najtrudniejszym aspektem tej komunikacji jest sztuka dialogu, polegająca, jak pisała Simone Weil, na osiągnięciu harmonii przeciwieństw, czyli dochodzenia do porozumienia w warunkach wolnych od

* Tygodnik „Polityka”.

przymusu. Porozumienie takie można osiągnąć jedynie wówczas, kiedy nie tylko się mówi, ale i słucha tego, co wypowiada adwersarz.

Dziś taka formuła wydaje się nieatrakcyjna, bo źle sprzedaje się masowej publiczności. A ta woli, jak pokazują badania telemetryczne, dynamiczny talk-show, w którym ma być walka, ale nie zmierzająca do porozumienia, lecz do eliminacji mniej atrakcyjnego uczestnika. Tam zaś, gdzie nie leje się krew, łać się muszą przynajmniej łzy wzruszenia. Na przykład gdy ojciec tyran przed kamerami godzi się ze swoją maltretowaną rodziną lub polityk, chlipiąc ze wzruszenia, opowiada, jak się przejął okrutnym losem Króla Lwa.

Wszystkiemu więc winne media (zwłaszcza elektroniczne), które, kierując się bezwzględną logiką telemetrycznych pomiarów oglądalności lub analizami czytelnictwa, przygotowują taki produkt, jaki chce publiczność? Bo w efekcie, przekonują krytycy, w mediach zamiast problemów i obrazu rzeczywistości prezentowana jest co najwyżej rzeczywistość wirtualna, bardzo uproszczona i „zglamuryzowana”. Taki pozorny obraz rzeczywistości może dostarczać co najwyżej inspiracji do pozornej debaty, trudno nim pobudzać społeczny dialog.

Zakładając nawet, że ta diagnoza, opisująca winę mediów w destrukcji sfery publicznej, jest w jakiejś mierze słuszna. Powstaje jednak pytanie: czy kluczem do odbudowy tejże sfery publicznej, jako przestrzeni niezbędnej do prowadzenia obywatelskiego dialogu, jest naprawa mediów? Czy powinniśmy zatem powołać jakieś specjalne ciała i komisje, które dbałyby o wyższy poziom etyczny prasy, radia i telewizji, które narzucałyby wyższe standardy odpowiedzialności? Już z samego pytania wieje grozą, a doświadczenia z funkcjonowaniem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji pokazują, że żadne rozwiązania administracyjne, nawet na szczeblu konstytucyjnym, nie przyniosą skutku, lecz doprowadzą do upolitycznienia mediów.

Należy raczej zadać pytanie, czy media klasyczne: prasa, radio i telewizja mogą jeszcze pełnić funkcję sfery publicznej, tak jak ją opisywał jeden z teoretyków komunikacji społecznej, Juergen Habermas. Rozumie on sferę publiczną jako przestrzeń nieskrępowanej obywatelskiej debaty, podczas której artykułowana jest między innymi wola polityczna oraz inspirowana aktywność społeczna. Narzędziami tej debaty są zarówno polityczne dysku-

sje w przestrzeni publicznej (przypomnijmy rolę paryskich kawiarni w kształtowaniu polityki Francji), stowarzyszenia i media, głównie prasa. Ale wszystkie te formy prowadzenia debaty były wynalazkiem społeczeństwa nowoczesnego i korzystało z nich głównie mieszczaństwo (klasa średnia), najważniejszy beneficjent rewolucji przemysłowej. Społeczeństwo przemysłowe ewoluowało w XX wieku do społeczeństwa masowego. Jego cechą, pożądaną zarówno ze względów politycznych jak i gospodarczych, była uniformizacja gustów, poglądów i kodów porozumienia. Debata publiczna odwoływała się do takich wielkich kategorii, jak naród, klasa, jedność. Te stosunkowo słabo zróżnicowane (choć za to bardzo często spolaryzowane) potrzeby komunikacyjne społeczeństwa przemysłowego doskonale obsługiwały media masowe.

Ale takiego społeczeństwa nigdzie już nie ma, nawet w Chinach coraz mniej ludzi pracuje w przemyśle. Na jego gruzach tworzy się społeczeństwo poprzemysłowe, określane przez socjologów mianem społeczeństwa późnonowoczesnego lub ponowoczesnego. Nie miejsce tu na jego dokładną charakterystykę. Dla dalszych rozważań istotne jest natomiast dostrzeżenie olbrzymiego zróżnicowania i odmasowienia zarówno w sensie rynkowym (indywidualizacja gustów), jak i politycznym (eksplozja różnorodnych roszczeń politycznych i emancypacyjnych formułowanych na marginesach debaty publicznej).

Media klasyczne siłą rzeczy tej różnorodności obsłużyć nie mogą. Kierując się logiką wielkich liczb i gustu uśrednionego, zapewniającego odpowiednio duże audytorium, nie mogą poświęcać uwagi każdemu partykularnemu głosowi artykułowanemu na marginesach debaty. Problem tylko w tym, że dziś te marginalne głosy bardzo często okazują się głosami o fundamentalnym znaczeniu dla całego systemu społecznego. To one są głównym nośnikiem społecznych i kulturowych innowacji, bez nich zaś niemożliwa byłaby adaptacja całego systemu do dynamicznie zmieniającego się globalnego otoczenia.

Media klasyczne, ciągle kierując się masową logiką innej epoki, z definicji nie nadają się do wspomaganie dialogu bardzo różnorodnego. Są i będą natomiast ciągle niezwykle istotnym narzędziem transferu idei partykularnych, powstałych na marginesie debaty do obiegu ogólnospołecznego.

Jak jednak w takim razie wspomagać medialnie tę nową postać dialogu, tę coraz bardziej zróżnicowaną debatę? Cóż, historia pokazuje, że to nie tyle media tworzą społeczeństwa, ile społeczeństwa na kolejnych etapach rozwoju tworzą media zaspokajające nowe potrzeby komunikacyjne. Medium współczesnego, późnonowoczesnego społeczeństwa jest niewątpliwie Internet. Ze względu na swój zdecentralizowany i ultrademokratyczny charakter umożliwia artykulację i dyskusję wszystkich możliwych idei, poglądów, problemów. Ze względu też na różnorodne mechanizmy spontanicznej samoorganizacji i porządkowania opinii umożliwia z pierwotnego chaosu nieskrępowanej komunikacji wyławiać idee istotniejsze, niosące w sobie realny problem, inspirację ważną nie tylko dla marginesu, ale i dla całego społeczeństwa.

Jeden tylko przykład: debata o patentowaniu oprogramowania. Niezwykle złożony problem, który przez wiele lat zajmował tylko informatyków, choć nawet wielu z nich go nie rozumiało. Gdy jednak najbardziej zaangażowani w spór zaczęli pokazywać wieloaspektowość zagadnienia, jego normotwórcze znaczenie dla innych obszarów życia wykraczających daleko poza informatykę, specjalistyczna debata fachowców stała się tematem publicznym. Media klasyczne uczyniły problem patentowania jednym ze swych tematów, a polscy politycy, z których wielu jeszcze nie używa komputera, podjęli walkę przeciwko patentowaniu oprogramowania na forum Parlamentu Europejskiego, jednocząc się ponad partyjnymi podziałami.

Złożona dynamika debaty patentowej pokazuje też złożoną dynamikę współczesnego działania mediów, wzajemnych relacji mediów klasycznych i Nowych Mediów jako narzędzi strukturyzujących społeczny dialog i publiczną debatę. Polskie elity nie tylko polityczne, ale i również intelektualne ciągle w większości nie rozumieją tej złożoności. Skutkiem są uproszczone i naiwne sądy. Ciągłe więc nasi politycy ubóstwiają media klasyczne, przekonani o ich dominującym wpływie na kształtowanie opinii publicznej (coż, Amerykanie udowodnili już pięćdziesiąt lat temu, że ta rola nie jest aż tak wielka). I jednocześnie słyszymy pomstowanie na Internet, że jest siedliskiem chaosu, rynsztokiem zbierającym wszystko to, co najgorsze w społecznej komunikacji.

Rzeczywistość jest nieco inna, a bardzo jej uproszczony schemat wygląda następująco. Nowe Media umożliwiają pierwotną artykulację społecznych oczekiwań i problemów. Media klasyczne umożliwiają transfer tych nowych, płynących z marginesów idei do debaty ogólnospołecznej. Ale jest jeszcze jeden etap. Obywatelska recepcja tej debaty ogólnospołecznej znowu zazwyczaj odbywa się na poziomie lokalnym, z coraz większym udziałem Nowych Mediów, które umożliwiają nieskrępowane komentowanie i ocenianie centralne wypowiedzi elit.

Jeśli jesteśmy dziś niezadowoleni z jakości dialogu społecznego w Polsce, nie próbujmy go za wszelką cenę naprawiać, wprowadzając kontrolę mediów klasycznych i cywilizując ustawami Nowe Media. Znacznie rozsądniejsze wydaje się promowanie powszechnego obywatelskiego dostępu do nowych form komunikacji, zwłaszcza Internetu. Umasowienie to daje szansę na odtworzenie sfery publicznej, przestrzeni artykulacji społecznych interesów i kontroli elit (również medialnych).

*Agata Stafiej-Bartosik**

Pajęczyna

Kiedy mówimy o dialogu społecznym, nie sposób nie mówić o komunikacji. Oczywiście, terminy te nie oznaczają tego samego zjawiska – komunikacja może być jednostronna i nie dążyć do wymiany czy interakcji, wpisanych w istotę dialogu. Dlatego warto zapytać, czy rozważania nad dialogiem społecznym w Polsce powinny odbywać się z udziałem głosu dotyczącego masowej komunikacji społecznej?

Komunikacja masowa jest bowiem w większości przykładem jednostronnego nadawania komunikatu, bez możliwości bezpośredniej riposty ze strony adresata. Kampania wyborcza namawia nas do głosowania na kandydatów, podając pewne argumenty, z którymi nie mamy możliwości polemizować inaczej niż głosując „za” lub „przeciw”. Nie jest to jednak dialog. Podobnie wyglądają inne kampanie, na przykład: reklamowe, gdzie jedyną możliwą formą reakcji jest zakup lub rezygnacja z zakupu produktu czy usługi. Nawet programy publicystyczne czy artykuły prasowe, choć tu głębia komunikatu z pewnością bardziej sprzyja inspirowaniu pewnych przemyśleń czy opinii, nadal nie spełniają warunków prawdziwego dialogu w klasycznym znaczeniu tego słowa. Zareagować tu możemy, pisząc listy do redakcji, które – rzecz ogólnie wiadoma – zazwyczaj czyta kto inny niż autor tekstu, lub w sposób najbardziej chyba pseudokontaktowy z możliwych, poprzez wysłanie SMS-a, którego efektem będzie skracanie się lub wydłużanie wykresu u dołu ekranu telewizyjnego. Bardziej przypomina to laboratoryjny eksperyment, gdzie jeśli małpa lubi banana, może nacisnąć czerwony guzik i zdobyć kolejny owoc, a jeśli nie lubi, może naciskać guzi-

* Stafiej Partnerzy.

ki w innych kolorach i patrzeć, co w wyniku tego działania wpadnie jej do klatki.

Pewnym odstępstwem od tej reguły wydaje się tzw. reklama społeczna. Co prawda i tu nie możemy wymienić opinii z nadawcą, ale już kreślone przez niego dla nas pole reakcji jest dużo obszerniejsze. Jeśli komunikat reklamowy namawia nas do recykulacji odpadów, nie mamy szansy odparować, że nie ma to w Polsce sensu, bo przecież każdy widział (albo ma znajomego, który widział), jak zawartość pojemników przeznaczonych na poszczególne kategorie surowców wtórnych miesza się w jednej ciężarówce. (Oczywiście, możemy powiedzieć to do telewizora, ale nie jest to jeszcze dialog). Jednak proponowana tu reakcja jest dużo bardziej skomplikowana niż „kupić–nie kupić”, a więc dokonanie jednorazowego wyboru. Nadawca namawia nas do pewnego zachowania, ciągu połączonych ze sobą czynności, wymagających od nas reorganizacji dotychczasowego sposobu działania: Nie wyrzucam gazet do tego samego pojemnika, co inne odpady. Muszę więc zdobyć specjalny pojemnik, wyznaczyć dla niego przestrzeń w swoim domu. Pojemnik ten muszę opróżniać w wyznaczonym miejscu zbiórki surowców wtórnych. Miejsce to muszę znaleźć. Jeśli nie mieszkam sama lub sam, muszę moje postępowanie wyjaśnić współdomownikom. Komunikat staje się więc bodźcem, który nie tyle skłania mnie do reakcji w stosunku do nadawcy, ile może kształtować moją interakcję z innymi osobami w otoczeniu. I tu, myślę, dochodzimy do sedna sprawy.

Komunikacja masowa nie ma bowiem charakteru linearnego – nadawca „A” wysyła komunikat „b” do odbiorcy „C”. Komunikacja masowa ma charakter sieciowy: Nie wysyłam komunikatu do odbiorcy „C”, ale do zbioru odbiorców, którzy niekoniecznie odpowiedzą na ten komunikat mnie, ale których reakcja na ten komunikat (zachowanie, decyzja, opinia) najprawdopodobniej dotknie inne osoby. Jeśli w mojej reklamie użyję stereotypowej postaci wrednej teściowej, nie odpowiedzą mi (raczej) setki niezadowolonych teściowych, ale w tkance społecznej, w sieci wzajemnych kontaktów ugruntuje się przyzwolenie na taką a nie inną wizję relacji rodzinnych lub rozpocznie się na ich temat dyskusja. Jeśli pokażę szczęśliwą rodzinę, w której spełnieniem ambicji bohaterki jest uradowana twarz męża, który zjadł pieczeń z sosem z proszku, nie tylko namawiam do kup-

na mojego produktu, ale także buduję pewien wzorzec, ikonę, model. Kobiety albo się na ten model zgodzą i ruszą do sklepów po sos, albo sprzeciwiają mu się w ten czy inny sposób, skłaniając mnie do zmiany strategii. I tak komunikat wysyłany przeze mnie wróci do mnie w formie niejako „przemielonej” przez sieć relacji społecznych. Dlatego myślę, że komunikacja masowa nie tylko ma charakter sieciowy, ale także cyrkularny – trochę jak nieregularna pajęczyna.

W odniesieniu do idei dialogu społecznego konstatacja ta może mieć pewne znaczenie. Otóż, skoro komunikacja masowa jest bodźcem stymulującym różnorodne zachowania społeczne, jest niejako wyznacznikiem norm i zasad społecznych, a na jej animatorach spoczywa znacznie większa odpowiedzialność niż jedynie sprzedaż nakładu, zwiększenie oglądalności czy wolumenu. Myślę, że bardzo często kapłani komunikacji masowej nie zdają sobie sprawy z tego, jak ogromnie ważną rolę odgrywają w budowaniu dialogu lub konfliktu społecznego. Rzecz jasna, przełożenie nie jest wprost proporcjonalne, nie każdy, o kim media mówią dobrze, zdobędzie społeczną akceptację i odwrotnie, nie każdy medialny „czarny charakter” będzie wyklęty. Znany jest przykład sieci sklepów, która atakowana za nieprawidłowe traktowanie pracowników przez media, nie tylko nie splajtowała, ale wręcz odnotowała zwiększenie liczby klientów. Badani Polacy wyznali, że skoro „sieć tak wyzyskuje pracowników, to musi tam być naprawdę taniej niż gdzie indziej”. Niezależnie od faktów kryjących się za tą historią, jest w niej ważna myśl – komunikacja masowa nie może tworzyć rzeczywistości (nie bez przyczyny powstał zwrot „fakt medialny”), ale niewątpliwie kształtuje ją i zmienia.

Wydaje się, że aby sprzyjać atmosferze dialogu, warto nakłaniać animatorów masowej komunikacji w Polsce (dziennikarzy, redaktorów, właścicieli mediów), do staranniejszego wsłuchania się w echa wywoływane przez określone komunikaty. Media nie ponoszą odpowiedzialności za efekty nadania określonej wiadomości i nie wydają się zastanawiać nad nimi. Nie nakłaniam tu w żadnym wypadku do odgórnej cenzury, ale niewątpliwie przedkładanie paradygmatu prawdy nad uniwersalne wartości etyczne jest kwestią wartą dyskusji. Być może innym przyczynkiem do takiej debaty

staną się podejrzenia, że część zachowań wyborczych Polaków mogła być podyktowana publikowanymi obszernie sondażami.

Wreszcie mało mówi się o pośrednich rezultatach emisji pewnych informacji. Myślę, że ciekawym przykładem może tu być badanie, w którego projektowaniu uczestniczyłam w ramach pracy w Fundacji Komunikacji Społecznej. To jakościowe badanie, typu *copy-test*, służyło sprawdzeniu odbioru plakatów zaproponowanych przez agencję reklamową dla kampanii społecznej „Zepsuj humor bandycie” na rzecz zmniejszenia poczucia bezradności wobec drobnych, ale uciążliwych napadów i kradzieży na polskich ulicach. Naszym celem było zweryfikowanie odbioru społecznego kampanii w przypadku ekspozycji określonych nadawców. Plakat i idea kampanii podobały się respondentom. Spontanicznie jednak, w przypadku gdy nie widniały na nim żadne logotypy, badani zaczęli zastanawiać się, kto mógłby i dlaczego ostrzegać Polaków przed zagrożeniami. Wskazywano na firmy ubezpieczeniowe – „zaraz podniosą składki na polisy, to się teraz podlizują”, producentów zamków do drzwi – „drogie to to, to się starają stworzyć zagrożenie” oraz firmy zajmujące się ochroną – „straszą, żeby ich zamawiać”. Poproszono więc respondentów o skomentowanie tych samych plakatów tym razem z nadrukowanym logotypem Policji. Niestety, respondenci nie przyjęli tej propozycji entuzjastycznie – „zamiast wydawać nasze pieniądze na reklamę, goniliby tych bandytów”. Następnie prezentowano plakat z logotypem Warty. I tu respondenci byli bezwzględni – „no, tak, sprawa jasna, straszą, żeby zarobić”. I Fundacja Komunikacji Społecznej nie spotkała się z dobrym przyjęciem – „a skąd oni mają pieniądze? nie wiadomo, kto za to płaci, czy Wołomin czy Pruszków?”. Tak więc, choć ideę kampanii respondenci aprobowali, pojedyncze logotypy nadawców budziły wśród nich kontrowersje. Sprawa wyglądała inaczej, kiedy pokazano plakaty ze wszystkimi znakami na raz – koalicja nadawców wydawała się mieć dużo większy sens. Poszczególne podmioty uzupełniały się. Skoro jest Policja, to raczej nie macza w tym palców mafia. Skoro Warta, to wiadomo skąd pieniądze, a obecność Fundacji wydawała się gwarantować wiarygodność i bezinteresowność przedsięwzięcia.

Myślę, że choć eksperyment przeprowadzono kilka lat temu, jego wyniki zawierały ważne wskazówki dotyczące zarówno komunikacji masowej

i sposobu jej odbioru przez polską opinię publiczną, jak i drzemiącej w nas potrzeby współpracy i dialogu.

Pozostaje pytanie – czy będziemy umieli na potrzebę tę odpowiedzieć...

Marek S. Szczepański*

Dialog społeczny w *mniejszym niebie*

Dialog społeczny obecny w dyskursie politycznym realnego socjalizmu, nadużywany w partyjnej retoryce, był zjawiskiem niemal nieznanym w realiach życia codziennego. Nawet unieśmiertelnione przez Edwarda Gierka pytanie, „towarzysze pomożecie”, było w istocie początkiem monologu *genseka*. Do krótkotrwałych dialogów dochodziło niemal wyłącznie w sytuacjach dramatycznych, skutkujących społeczną traumą, takich jak wydarzenia w Poznaniu w 1956 roku czy strajki z sierpnia 1980 roku. Społeczna rozmowa pojawiała się pod presją i z punktu widzenia władzy była elementem destabilizującym system oraz poszczególne jego elementy. Mówiąc inaczej, nie było dialogu jako trwałego elementu życia społecznego, jego regulatora i źródła poczucia obywatelskiego sprawstwa.

Jedną z zapowiedzi fundamentalnego przełomu solidarnościowego i początkiem dialogu w skali lokalnej był – w moim przekonaniu – mało znany fakt odnotowany w kwietniu 1979 roku w „nowym mieście socjalistycznym”. Tak jeszcze do niedawna określano Tychy, przestrzenną i społeczną emanację upadłego już ustroju. Oto bowiem miejscowy sekretarz partii zdecydował, że powaga marszu pierwszomajowego wystawiona zostanie na szwank przez niepozorną kapliczkę kamienną, ufundowaną przez rodzinę Czardybonów w początkach XIX stulecia i ułożoną, nomen omen, przy ul. Dzierżyńskiego. Polecił zatem kłopotliwy zabytek wykopać i przenieść w mniej eksponowane miejsce. Okazało się jednak, że pomysł ten zakwestionowali zgodnie i *banysy* (Ślązacy), i *gorole* (przyjezdni), i *werbusy* (pracownicy kopalń zwerbowani do pracy spoza Śląska). W do-

* Wydział Nauk Społecznych UŚ.

bie, kiedy nie było jeszcze Internetu i telefonii komórkowej, a stacjonarny telefon był towarem niezwykle cennym i latami oczekiwanym, tysiące ludzi zgromadziło się wokół krzyża, broniąc go przed buldożerem i koparką. Podstawą tego niezwykle dialogu była modlitwa, archetyp rozmowy *tout court*. Sukces społeczny był pełny i zaskakujący. Partyjny demiurg wycofał się z pomysłu i kapliczka do dzisiaj pozostaje na swoim historycznym miejscu. Samo zaś zdarzenie pokazało głęboką potrzebę nie tylko zmian fundamentalnych, ale również dialogu obywatelskiego w skali lokalnej, w „mniejszym niebie, najmniejszym świecie”, gdyby użyć określeń przedwcześnie zmarłego pisarza śląskiego Stanisława Bieniasza.

W okresie transformacji idea dialogu społecznego, pojmowanego nie tyle jako krzyk obywateli, efekt ich postaw rewindykacyjnych, ale jako naturalny regulator relacji między władzą wszystkich szczebli i mieszkańcami, z trudem toruje sobie drogę. I choć w wielu wypowiedziach politycznych, naukowych czy publicystycznych pojawiają się uwagi o jej randze i znaczeniu, to jednocześnie powszechnie wyrażane jest przekonanie o deficycie dialogu, symetrycznym nieprzygotowaniu elit i obywateli do jego podjęcia czy braku wzorców takiego społecznego dyskursu. Nie wnikając w szczególności, warto przynajmniej wstępnie podjąć refleksje nad warunkami nieodzownymi dla społecznego dialogu i jego imponderabiliami. Niezwykle użyteczne w tym przedsięwzięciu okazać się mogą różnorakie koncepcje socjologii dramaturgicznej, kojarzone zazwyczaj z nazwiskiem nieżyjącego już od ćwierćwiecza Ervinga Goffmana. Dialog, podobnie zresztą jak i monolog, jest formą przedstawienia, spektaklu odgrywanego przed zróżnicowaną widownią, w zgodzie jednak z kanonicznymi wymogami teatru. Można zatem przyjąć, że o jakości dialogu społecznego decydować będą w pierwszej kolejności jego *aktorzy*, głównie pierwszoplanowi, choć niekiedy ważną funkcję do spełnienia mają epizodyści, czyli halabardnicy, jak się ich określa w teatralnym żargonie. Aktorzy pierwszoplanowi, gwiazdy socjometryczne dialogu, a zarazem jego reżyserzy i konstruktorzy, orzekają o tematyce dialogu, narracji i wartości. Każda rozmowa społeczna musi mieć swój *przedmiot*, a jej uczestnicy wyposażeni są w argumentację, czyli przygotowani do odegrania roli. Nieodzowna jest, jak w każdym teatrum, *scena*, którą mogą być zarówno zamknięte miejsca, takie jak sale obrad czy

studia telewizyjne, jak i otwarte przestrzenie lokalne, regionalne czy narodowe agory. Czasem od sceny ważniejsze bywają *kulisy*, a o ich roli i randze dowodnie zaświadczenia śledztwa prowadzone przez komisje sejmowe, zwłaszcza jeśli tworzący je parlamentarzyści mieli szczególne zdolności analityczne i rozbudowaną potrzebę autokreacji. W dialogu, podobnie jak w każdym widowisku teatralnym, potrzebne są *rekwizyty*, takie choćby jak białe księgi, kodeksy etyczne, programy czy strategie. Dialog społeczny jest także wyposażony w *didaskalia*, swoiste dopiski na marginesach ról odgrywanych przez protagonistów. Zachowanie Jana Rokity po porażce w wyborach parlamentarnych bogate jest właśnie w takie ulotne treści, rzutujące jednak na przebieg dialogu, w tym przypadku zmierzającego do sformowania rządu. I wreszcie dialog społeczny potrzebuje *kanalów przekazu i komunikacji*, takich jak media i te elektroniczne, i te bardziej tradycyjne, pisane czy mówione.

Uczestnicy dialogu przyjąć mogą trojaki przynajmniej postawy: *konserwacyjne*, *adaptacyjne* i wreszcie *innowacyjne*. Te pierwsze zmierzają do zachowania społecznego status quo, a dialog ma legitymizować pragnienie takich zmian, aby nic w społecznym otoczeniu się nie zmieniło. Czasami postawy takie mogą przyjąć zgoła karykaturalny charakter. Dobrego przykładu dialogu zmierzającego do konserwacji stanu dostarczają losy tyńskiej piramidy. Tadeusz Cegliński, bioenergoterapeuta przekonany o dobroczynnym wpływie takiej bryły na zdrowie i życie ludzkie, zapragnął w Tychach wznieść ośrodek hotelowo-rekreacyjny o tym właśnie kształcie. Architektonicznego układu odniesienia dostarczyć miała piramida Cheopsa, odwzorowana na rodzimym gruncie w pięciokrotnym pomniejszeniu. Wstępny koszt oszacowano na 25 milionów złotych, a przedsięwzięcie miało dać zatrudnienie przynajmniej 60 tyszanom. Sprawa okazała się jednak bardziej skomplikowana, a jej kulisy zastanawiające. Grupa lokatorów z sąsiedztwa, do tej pory społecznie nieaktywna, słabo zainteresowana jakością otaczającej ich przestrzeni, jęła słać petycje i żądania pod adresem lokalnych władz, aby te pomysły Ceglińskiego storpedowały. Lokatorzy i uczestnicy tego osobliwego dialogu wytoczyli niezwykłe argumenty. Stwierdzili bowiem, że piramida kojarzy im się z upowszechnianiem idei New Age i okultyzmu, zadali publicznie pytanie o katolicyzm inwestora

i właściwy mu Urząd Skarbowy, do którego odprowadza trybuty fiskalne. Zniechęcony bioenergoterapeuta publicznie poinformował o swojej afiliacji katolickiej, ślubie kościelnym, urzędzie podatkowym w Tychach i zdecydowanie odciął się od związków ideologicznych z Erą Wodnika, New Age i okultyzmem. Te deklaracje uspokoiły nieco adwersarzy, którzy pytani o istotę okultyzmu nie potrafili sami zdefiniować jego sensu. To zdarzenie dialogowe ukazuje w sposób nadzwyczaj czytelny rolę wykształcenia w funkcji i jakości rozmowy. Trudno bowiem, choć teoretycznie jest to możliwe, oczekiwać od maszerujących w stolicy górników subtelnej retoryki i argumentacji, jeśli szesnastu z każdej *bajerskiej* setki legitymuje się wykształceniem podstawowym lub nie potrafi udokumentować nawet takiego poziomu edukacji.

Postawy adaptacyjne ujawniają się zazwyczaj wtedy, kiedy uczestnicy dialogu są przekonani o nieodzowności pewnych działań, rozwiązań czy inwestycji. Początkowo część z nich zachowuje się zgodnie z tradycją znaną z działalności ruchu niszczyteli maszyn parowych Nedda Ludda, ale wcześniej czy później, zazwyczaj po wyczerpującym dialogu z władzą lokalną, prowadzonym za pośrednictwem lokalnych, regionalnych czy nawet krajowych mediów, poszukuje kompromisów. Znakomitym tutaj przykładem są dialogi społeczne drobnych kupców, właścicieli czy administratorów tradycyjnych kin, przeciwnych lokalizacji centrów handlowych czy multipleksów. Nieuchronność takich inwestycji, którym sprzyjają zazwyczaj społeczności lokalne, zamyka dialog, a adwersarzy zmusza niekiedy do postaw adaptacyjnych i innowacyjnych zarazem, poszukiwania nisz dla własnych aktywności i biznesowego przetrwania.

Postawy innowacyjne związane są z dialogiem społecznym zmierzającym do zasadniczych zmian w społeczności lokalnej czy regionalnej. Najlepiej, gdy dialog wyprzedza zmiany i wskazuje na ich nieodzowność. Dobrym tego przykładem, choć sama realizacja pozostawia wiele do życzenia, był dialog nad *Kontraktem społecznym dla województwa katowickiego*, w którym uczestniczyli liczni aktorzy zbiorowi: przedstawiciele regionu, reprezentowani przez wyselekcjonowanych ekspertów, i władze województwa, funkcjonariusze lokalnych odłamów różnorodnych partii, związków zawodowych i znaczących instytucji oraz reprezentanci rządu centralnego.

Wszyscy oni mieli świadomość, że czas tradycyjnego Śląska symbolizowanego przez szyb kopalni i górniczy pióropusz odchodzi w przeszłość, a region potrzebuje nowej symboliki, odświeżonego wizerunku, reformatorskich instytucji i nowoczesnych inwestycji. Był to jeden z najciekawszych dialogów społecznych w III RP, zakończony między innymi ulokowaniem w przestrzeni regionu Katowickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej oraz unikatowym dokumentem ratyfikowanym przez rząd Józefa Oleksego (*Kontrakt dla Śląska*). Obecnie to najbardziej atrakcyjna w kraju przestrzeń strefowa, obszar fiskalnego dobrodziejstwa dla firm, dający utrzymanie kilkunastu tysiącom pracowników, członkom ich rodzin i kooperantom.

Dialogowi społecznemu towarzyszą często, choć nie zawsze, różnorakie ruchy obywatelskie. Część z nich, o jednoznacznie destrukcyjnym charakterze, opatrywana bywa szyldem NIMBY (not in my backyard). W takich przypadkach rozmowa, a może raczej zмова obywateli, uniemożliwia bądź utrudnia powstanie wielu instytucji społecznie użytecznych, takich choćby jak placówki odwykowe leczące narkomanów i alkoholików, hospicja, domy pobytu dla ludzi opuszczonych i bezdomnych. Wówczas aktywność obywatelska i dialog zmierzają do lokalizacji ich z dala od przestrzeni zajmowanych przez aktorów ruchów nawet wtedy, gdy oprotestowywana inwestycja nie zagraża lokalnym społecznościom, a co najwyżej narusza ich poczucie źle pojmowanej estetyki. Często jednak dialog społeczny inicjuje prometejskie ruchy obywatelskie zabiegające o poprawę warunków życia lokalnych czy regionalnych zbiorowości. Całkiem powszechne są działania, oparte właśnie na dialogu społecznym, prowadzące do poprawy stanu lokalnej infrastruktury, zwiększające szanse zatrudnienia, nauki czy zabawy. Niemal w każdej społeczności lokalnej funkcjonowały oparte na dialogu komitety kanalizacyjne, telefonizacyjne, drogowe, szkolne czy remizowe.

Do kluczowych przeszkód utrudniających dialog w skali lokalnej i regionalnej można zaliczyć niedostatki w podaży 4T, czyli *tradycji, tolerancji* wobec inności seksualnej, etnicznej, kulturowej, wyznaniowej, narodowej i rasowej, *talentu* mierzonego poziomem wykształcenia głównych oraz epizodycznych aktorów dialogu i wreszcie *technologii*, pojmowanej jako infrastrukturalne wsparcie rozmowy społecznej (media, komunikacja, transport). Mówiąc metaforycznie, dialog zbiorowy nigdy nie będzie ani lepszy, ani

sprawniejszy niżli głowy jego uczestników, a charakter tej szczególnej rozmowy zależy w znacznym stopniu od historycznych tradycji takich właśnie społecznych dyskursów. Mieszczanie angielscy powiadają, że potrzeba dwustu lat pielęgnacji, aby wyspiarski trawnik olśnił urodą. Można tylko wyrazić nadzieję, że rodzimy dialog nie podlega tym samym – trudno akceptowalnym społecznie – regułom długiego trwania i cykлом sekularnym.

*Marcin Sptański**

Przemoc jako zaprzeczenie idei dialogu społecznego

Gdy w połowie 2003 roku wspólnie z Andrzejem Zybortowiczem i Danielem Wincentym analizowaliśmy kondycję dialogu społecznego w Polsce, zwróciliśmy uwagę między innymi na trzy elementy pojawiające się w rozmowach z uczestnikami:

- po pierwsze, na mnogość pełnionych funkcji społecznych przez członków Wojewódzkich Komisji Dialogu Społecznego;
- po drugie, na zakorzenione wśród aktorów dialogu społecznego przekonanie o tym, iż samo funkcjonowanie instytucji dialogu społecznego zostało wymuszone przez Unię Europejską;
- po trzecie, na skłonność aktorów dialogu społecznego do działania poza oficjalnymi kanałami artykulacji, także z wykorzystaniem różnych form przemocy.

Pierwszy z wymienionych elementów pozwolił na sformułowanie hipotezy o tak zwanej choinkowości. Oznacza ona, iż instytucje dialogu społecznego zostały zawłaszczane przez osoby pełniące dziesiątki innych, mniej lub bardziej czasochłonnych funkcji, które samą instytucję dialogu traktowały jako instrument pomnażania własnego kapitału społecznego i budowania osobistej pozycji.

Drugi element wskazywał z kolei na przekonanie uczestników dialogu społecznego, że biorą udział w przedsięwzięciu, które ma charakter fasadowy. Rozmówcy wskazywali na niewielki poziom uprawnień WKDS, ograniczony niemal wyłącznie do wydawania opinii.

* Instytut Socjologii UMK w Toruniu.

Nie ulega wątpliwości, iż w krajach przechodzących transformację ustrojową znaczącą rolę odgrywają środowiska związane z totalitarną władzą i częściowo zależnymi od niej służbami specjalnymi. W przypadku Polski działania służb specjalnych PRL-u umożliwiły w miarę łagodną adaptację do nowych realiów politycznych i gospodarczych. Spowodowały natomiast, iż sfera polityczna i gospodarcza zawłaszczone w pewnym zakresie przez elity dawnego systemu, zostały jednak socjalizowane, czy, mówiąc inaczej, „sformatowane” w instytucjach, gdzie reguły gry były zasadniczo odmienne od zasad demokracji i wolnego rynku. Dysponując większymi zasobami różnych form kapitałów, miały zdolność oddziaływania i infekowania otoczenia.

Wszystkie instytucje działają według dwóch typów reguł: formalnych, czyli określonych ustawami, kodeksami czy statutami, oraz nieformalnych. Specyfiką krajów postkomunistycznych jest znacząca przewaga reguł i powiązań nieformalnych nad formalnymi.

Instytucje dialogu społecznego są dla postkomunistycznych elit czymś w rodzaju ciała obcego. Osoby socjalizowane w instytucjach, których nieodłącznymi cechami była korupcja, nepotyzm, przemoc, a także trudna do przecenienia rola tzw. układów, z trudem adaptują się do sytuacji, w których reguły gry są zasadniczo odmienne.

W napisanym wspólnie z Andrzejem Zybertowiczem tekście *Dialog jako ciało obce w tkance polskiego życia społecznego*, próbowaliśmy wspólnie przyjrzeć się, jaka jest rola formalnej i nieformalnej przemocy w sferze polityki lokalnej oraz gospodarczej.

Pierwsza część opierała się na własnych doświadczeniach, związanych z pełnieniem mandatu radnego w jednym z miasteczek w województwie pomorskim. W ciągu około półtora roku można było zanotować kilkanaście przypadków użycia przemocy lub groźby jej zastosowania. Kilka z nich:

- wykorzystanie prokuratury dla celów politycznych,
- wykorzystanie Urzędu Skarbowego w celu nękania niewygodnego przedsiębiorcy,
- próba wymuszenia określonego głosowania radnych przez lokalnego przedsiębiorcę;
- próby zastraszenia lokalnych dziennikarzy przez niektórych radnych.

Do powyższych przykładów można dodać to, iż dwie kluczowe osoby w starostwie powiatowym, które nagłośniły sprawę związaną z utratą przez to starostwo ziemi wartej około 25–30 mln zł, utraciły stanowisko w wyniku „ciekawej” koalicji lewicowo-ludowo-religijnej. We wszystkich opisanych powyżej sprawach udział brały osoby, które aktywnie uczestniczyły w życiu politycznym PRL-u, co w pewnym sensie może potwierdzać tezę o specyficznej formie socjalizacji w instytucjach państwa komunistycznego.

Z kolei analizując rolę i znaczenie przemocy w sferze gospodarczej, zleciliśmy firmie ASM przeprowadzenie reprezentatywnych badań na próbie 384 przedsiębiorców. Wyniki są z pewnością zaskakujące i tłumaczą w pewnym stopniu, dlaczego instytucje dialogu społecznego nie są w stanie w sposób wystarczający zakorzenić się w polskim życiu publicznym.

Otóż prawie 43 proc. ankietowanych uważa, iż w polskim życiu gospodarczym występowanie nielegalnej przemocy fizycznej lub zagrożenie nią to zjawisko częste lub bardzo częste. Dodatkowo prawie 18 proc. ankietowanych uważa, iż istnieją takie sytuacje podczas prowadzenia działalności gospodarczej, w których stosowanie podobnych działań jest usprawiedliwione. Co trzeci respondent był szantażowany lub grożono jemu czy jego rodzinie.

Mamy więc pewien kontekst społeczny, na gruncie którego muszą działać instytucje dialogu społecznego. Kontekst, którego składową częścią jest przemoc. Wiele instytucji społecznych, politycznych i gospodarczych jest zbudowanych w warunkach tego właśnie kontekstu. Określmy je roboczo jako *instytucje chore*. I na gruncie, i w otoczeniu takich właśnie instytucji implementujemy zdrową tkankę: instytucje dialogu społecznego oparte na komunikacji, porozumieniu, wymianie poglądów, szacunku wobec drugiej strony itp. Nazwijmy je więc *instytucjami zdrowymi*. Pytanie, co stanie się z tymi pierwszymi? Wspólnie z Andrzejem Zybortowiczem widzimy trzy możliwe scenariusze, a więc mogą być one:

- odrzucane – tracą wtedy swoją tożsamość instytucjonalną;
- rozmontowywane/przedefiniowane – w wyniku kontaktu z otoczeniem zaczynają pełnić funkcje różniące się od pierwotnie zaplanowanych;
- neutralizowane – funkcjonują wobec zdrowych reguł, ale pozbawione są możliwości oddziaływania na otoczenie.

W celu przełamania słabości dialogu społecznego nie wystarczy samo stworzenie jego instytucji. Potrzebne jest dokonanie przełomu symbolicznego, który będzie oznaczał zmianę reguł gry politycznej i gospodarczej. Aby taki przełom symboliczny mógł być skuteczny, powinien być:

- zasygnalizowany odgórnie (zmiany w funkcjonowaniu instytucji publicznych, głównie w wymiarze sprawiedliwości);
- wspierany przez rozmaite instytucje prodemokratyczne i media;
- związany z zasadniczą zmianą jakości w sprawowaniu władzy;
- efektywny w zakresie stosowania sankcji wobec osób i instytucji działających na szkodę dobra wspólnego;
- skierowany na przybliżenie polityków do wyborców, a więc zmianę ordynacji wyborczej na większościową w wariantcie jednomandatowych okręgów wyborczych.

*Dariusz Tworzydło**

Bariery dialogu w organizacjach

Jedną z podstawowych barier dialogu wewnętrznego organizacji są błędne komunikaty powstające jako reakcja na sztuczne podziały i hierarchię zależności funkcyjnych. Polegają one na komplikowaniu wysyłanych przez poszczególnych członków zarządu organizacji komunikatów, ale nie tylko przez poziom ich zróżnicowania i trudności, a bardziej przez nieświadome wyznawanie zasady, że podwładny w przypadku większości poleceń i procedur powinien je mechanicznie wykonywać, bez prawa ingerencji i inwencji twórczej. Niestety, bariery mogą się pogłębiać jeszcze bardziej w przypadku, gdy oprócz typowego niezrozumienia pojawiać się będzie niechęć do łagodzenia problemów wynikających z niewłaściwie przekazywanych i interpretowanych komunikatów. Wówczas omawiana bariera może przyczynić się do wzmacniania konfliktu lub kryzysu, a ten z kolei zmniejsza szanse organizacji w konkurencji rynkowej i możliwościach sprostanania coraz bardziej wybrednym potrzebom i oczekiwaniom klientów.

Kolejna bariera wynika z oporów przed zmianami. Dialog zatrzymuje się niekiedy w miejscu lub wcale do niego nie dochodzi, w przypadku gdy na drodze komunikacji staną osoby, dla których jakakolwiek zmiana obecnego stanu jest sytuacją nie do zaakceptowania. Broniąc się przed jakąkolwiek, nawet drobną transformacją struktury, firmy niszczą dialog. Strajk jest jednym z ekstremalnych efektów tego typu sytuacji, ale inne są równie groźne, mogą bowiem niszczyć czy to procesy zachodzące w organizacji, czy całą komunikację zarówno wewnętrzną jak i zewnętrzną.

* Kierownik Zakładu Public Relation WSIIZ.

Równie istotnym problemem i barierą dialogu w komunikacji wewnętrznej są sposoby delegowania obowiązków. Przydzielenie zadań poszczególnym pracownikom nie zawsze wiąże się z prawdziwym przyznaniem im prawa do realizacji tychże wyzwań. Bywa, że wprowadzana przez zarządzających nadmierna kontrola lub niekiedy całkowity jej brak powodują spiętrzenie problemów wynikających z niezrozumienia roli i zadań, jakie stoją przed pracownikami. Wykonywane zadania mogą w końcu nie spełniać oczekiwań zarządzających, którzy sprowokowali tę sytuację nieumiejętnym prowadzeniem monitoringu obowiązków wykonywanych przez pracowników.

Inną barierą procesu komunikacji wewnętrznej jest z pewnością brak inwestowania w personel. Skutkiem tego rosnące wymagania wobec pracowników nie mogą zostać podjęte i wypełnione przez nich samych, co w dalszej kolejności przyczynia się do powstawania konfliktów. Unikanie podejmowania kroków zmierzających do podniesienia wiedzy, kwalifikacji czy umiejętności personelu prowokuje zatem nie tylko zaburzenia, ale również nieprawidłową realizację założeń i celów przyjmowanych przez zarząd organizacji, zmniejsza motywację i szanse firmy w zakresie rywalizacji na konkurencyjnym rynku. Problem zatem tkwi tutaj w podejściu i umiejętności dostrzeżenia wagi samego procesu szkolenia oraz doskonalenia kadr nie tylko w widocznych obszarach (takich jak wiedza w zakresie nowych technologii informatycznych), ale również w obszarach niewidocznych (takich jak komunikacja interpersonalna, techniki sprzedaży).

Proces dialogu sprowadza się w organizacji nie tylko do wypełniania poleceń, ale przede wszystkim do identyfikacji i podążania we wskazanym kierunku w dokumentacji strategicznej, opracowanej na potrzeby firmy. Istniejące bariery w pewnym stopniu sprzyjają mobilizacji w podejmowaniu kroków zmierzających do ich obejścia czy wyeliminowania, ale przede wszystkim mogą stanowić zarzewie kryzysu oraz czynnik blokujący rozwój i wprowadzanie zmian w organizacji. Dlatego właściwym rozwiązaniem w tym przypadku byłoby nie tylko rozpoznanie barier, ich analiza, ale również, a może przede wszystkim, zmniejszanie siły ich oddziaływania na organizację.

*Renata Rycerz**

Gdzie uczyć dialogu?

Dialog kojarzy się z rozmową, przynajmniej między dwiema osobami. Podstawową cechą udanego dialogu jest umiejętność słuchania.

Obserwując dyskusje podejmowane na przykład w mediach, łatwo spostrzec, iż zdolność prowadzenia dialogu nie jest mocną stroną polskiego społeczeństwa – po prostu nie zawsze potrafimy ze sobą rozmawiać. Najlepszym przykładem są tu chociażby ostatnie debaty wyborcze prowadzone przez kandydatów na prezydenta Polski. Nie ma w nich konstruktywnego dialogu. Przytaczane argumenty świadczą niejednokrotnie o niskim poziomie kultury politycznej w naszym kraju.

Należałoby zadać sobie pytanie, gdzie możemy nauczyć się rozmawiać? Ogromną rolę w życiu każdego człowieka odgrywa Rodzina. Tak naprawdę to rodzice powinni nauczyć wyrażania myśli poprzez rozmowę. Ale czy dzisiejsze czasy stwarzają możliwość częstych rozmów między rodzicami i dziećmi? Intensywny tryb życia, spędzanie większości czasu w pracy, codzienne stresi, przemęczenie nie wpływają korzystnie na relacje rodzinne. Dorośli nie poświęcają wystarczająco dużo czasu na rozmowę ze swymi dziećmi.

Kolejnym przykładem środowiska, w którym możemy kształtować umiejętność dialogu jest szkoła. Niestety, współczesny system edukacyjny (zbyt obszerny program w stosunku do czasu poświęconego na realizację) nie daje nauczycielom możliwości rozwijania dwustronnego dialogu. Poza tym schematyczny sposób nauczania nie pozwala młodym ludziom zaprezentować własnego punktu widzenia, próby własnej interpretacji niejedno-

* Krajowy Punkt Kontaktowy Programów Badawczych Unii Europejskiej.

krotnie są źle oceniane przez nauczycieli, nastawionych tylko na przekazywanie wiedzy.

Obserwując życie codzienne można zauważyć, że problem Polaków w posługiwaniu się dialogiem ciągle się pogłębia. Ludzie, którzy do niedawna z łatwością znajdowali wspólny język (np. sąsiedzi, pracownicy jednej firmy), obecnie unikają rozmów. Być może jest to związane z mentalnością Polaków, a może pogłębiającymi się różnicami w statusie materialnym czy brakiem klasy średniej w Polsce. Ludzie, którzy na przykład stracili pracę, są sfrustrowani i niechętni do nawiązywania kontaktów, wstydzą się rozmawiać o własnych problemach, co najbardziej jest widoczne w małych miejscowościach.

Szybki postęp technologiczny (Internet, telefonia komórkowa) również przyczynia się do zanikania bezpośredniego kontaktu między ludźmi, który jest zastępowany niewspółmiernie uboższymi formami.

Afiliacje

- Gerald Abramczyk**.....wykładowca, Uniwersytet Warszawski, Polska Akademia Nauk
- Edwin Bendyk**.....tygodnik „Polityka”
- dr Marek Cichocki**Instytut Stosowanych Nauk Społecznych UW
- prof. dr hab. Przemysław Czaplński**.....Instytut Filologii Polskiej UAM
- dr Barbara Fedyszak-Radziejowska**Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN
- prof. dr hab. Jan Kieniewicz**.....Ośrodek Badań nad Tradycją Antyczną w Polsce i Europie Środkowowschodniej UW
- dr Maciej Łętowski**publicysta prasowy, adiunkt w Instytucie Socjologii KUL
- prof. dr hab. Andrzej Nowak**Instytut Studiów Społecznych UW, Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej w Warszawie
- dr Leszek Porębski**.....Wydział Nauk Społecznych Stosowanych AGH
- Renata Rycerz**.....Krajowy Punkt Kontaktowy Programów Badawczych Unii Europejskiej
- dr Marcin Splawski**.....Instytut Socjologii UMK w Toruniu
- Agata Stafiej-Bartosik**.....Stafiej Partnerzy
- prof. dr hab. Marek Szczepański**.....Wydział Nauk Społecznych UŚ
- Jan Szomburg**prezes zarządu Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową, organizator Polskiego Forum Wartości i Rozwój
- dr Dariusz Tworzydło**.....Kierownik Zakładu Public Relation WSiIZ
- dr Tomasz Zarycki**Instytut Studiów Społecznych UW

**W serii „Wartości i Rozwój”
dotychczas ukazały się następujące pozycje**

- **Czy wartości i normy społeczne
są barierą reform w UE?**
- **System wartości i norm społecznych
podstawą rozwoju Polski**
- **Jakie elity są potrzebne Polsce?**

